MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 10. WARSZAWA, 4 MARCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

W AUSTRJI I W AUSTRJĘ

WYSTĄPIENIE zbrojne socjalistów w Austrji ma bardzo różnorodne przyczyny i będzie miało bardzo różnorodne następstwa.

Chodziło oczywiście przedewszystkiem o pozycję stronnictwa socjalistycznego w państwie austrjackiem. Pozycja ta była oddawna bardzo silna, socjaliści byli w ciągu długich lat czynnikiem decydującym. Rywalizujące z nimi stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, przyszedłszy do władzy, z trudem się tylko przy niej utrzymywało, wchodząc w coraz większą zależność od żywiołów mniej lub więcej „faszystowskich". W ostatnich czasach współzawodnictwo polityczne odbywało się między „faszystami" Dollfussa i Feya, a narodowymi socjalistami, zależnymi od Berlina. Socjaliści schodzili coraz bardziej na plan drugi. Taka sytuacja nie mogła się podobać mającemu stare i wielkie tradycje stronnictwu socjalistycznemu; postanowiło ono tedy postawić wszystko na jedną kartę i podjąć próbę odzyskania decydującej pozycji w państwie przez wystąpienie z bronią w ręku. Postanowienie to stało się możliwe dzięki temu, że Austrją i jej przyszłością interesują się różne czynniki w świecie.

*

A więc naprzód Niemcy i ich polityczni sojusznicy i przeciwnicy. W programie politycznym Hitlera stoi—jak to już dokładnie widać—na pierwszem miejscu połączenie wszystkich krajów, zamieszkałych przez ludność niemiecką. W Austrji zaś jest prawie siedm miljonów Niemców. Przyłączenie Austrji do Rzeszy musi być tedy przedmiotem polityki niemieckiej. Od chwili, gdy do władzy doszedł Hitler, plan niemiecki rysuje się jasno: chodzi o to, by w Austrji doszli do władzy zwolennicy socjalizmu narodowego, bo kiedy to się stanie, połączenie będzie już tylko zwykłą formalnością, której trudno się będzie przeciwstawić.

Przeciwnikami zamiarów niemieckich są oczywiście wszystkie państwa, zagrożone przez politykę niemiecką. Lecz najbardziej zainteresowane są Włochy i Mała Ententa. Dla różnych wszakże powodów i dla innych celów. Włosi pragną pozyskać Austrję dla stworzenia z niej i z Węgier przeciwwagi państwom Małej Ententy. System włoski polega na popieraniu na terenie austrjackim miejscowego, swoistego „faszyzmu", który — jak sądzą Włosi — mógłby się przeciwstawić skutecznie hitleryzmowi. Sojusznikiem Włoch na terenie austrjackim jest ta część stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, która idzie pod komendą kanclerza Dollfussa i która (dziś przynajmniej) broni niezależności państwa austrjackiego.

Mała Ententa (w pierwszej linji Czesi) przeciwstawia się przyłączeniu Austrji do Rzeszy, lecz nie pragnie także ściślejszych związków Austrji z Włochami i z Węgrami. Z nieufnością patrzy ona na „faszystowskie" zamiary kanclerza Dollfussa, wolałaby, ażeby w Austrji panował nadal „demokratyczny" system rządów, którego główną podporą w tym kraju musi być socjalna demokracja. Oto dlaczego byłoby rzeczą zupełnie logiczną, gdyby zbrojne wystąpienie socjalistów austrjackich, było wspierane bronią i amunicją pochodzenia zagranicznego.

Z powyższego wynika, że oba walczące z sobą w Austrji obozy są przeciwne „*Anschluss*'owi", lecz nie zajmują tego stanowiska z tych samych powodów i pragnęłyby widzieć niezależną Austrję w różnych ugrupowaniach politycznych. Dlatego to można powiedzieć, że krwawe walki w Wiedniu toczyły się nietylko o to, jakie stronnictwo będzie miało przewagę w kraju, lecz także o politykę zagraniczną Austrji. Niemcy w sprawę tę nie byli bezpośrednio zaangażowani, patrzyli przeto na toczącą się walkę z boku, liczyli jednak prawdopodobnie na to, że osłabienie się przeciwników może wyjść na korzyść strony trzeciej — w tym wypadku hitleryzmu i Rzeszy niemieckiej.

*

W grę wchodziło tu jednak jeszcze coś więcej. Walki na terenie austrjackim są w związku z przeobrażaniem się stosunków w Europie. Jest

widoczne, że te czynniki, które miały przewagę w życiu i polityce europejskiej w wieku XIX, schodzą obecnie z pola. Są to czynniki różnorodne, pierwsze miejsce wszakże zajmuje wśród nich wolnomularstwo. Zostało ono już odsunięte od władzy we Włoszech i w Niemczech. Jest zagrożone w różnych innych krajach—jak świadczą wypadki 6 lutego w Paryżu, chwieje się grunt pod jego nogami nawet we Francji. Z chwilą, gdy walki polityczne coraz bardziej z parlamentów wynoszone są na ulicę, gdy zaczynają decydować starcia bezpośrednie, muszą loże szukać oparcia i poparcia w wielkich organizacjach społecznych. Nie pozostaje im nic innego, jak odwoływać się do stronnictw socjalistycznych i do będących pod ich wpływami związków zawodowych. Widzieliśmy tedy we Francji jednodniowy powszechny strajk demonstracyjny. Miał on być dowodem na to, że „lud" stoi mocno przy obozie radykalnym i że nie pozwoli na wyrządzenie krzywdy „Demokracji". Przy najbliższej okazji, gdy żywioły narodowe wyjdą znów w Paryżu na ulicę, będzie napewno podjęta próba przeciwstawienia im organizacyj socjalistycznych i pokrewnych...

Wyprowadzenie uzbrojonych robotników na ulice Wiednia i innych miast austrjackich miało, między innemi, ten również cel na widoku. Próbowano pomódz socjalnej demokracji austrjackiej w zdobyciu władzy w tym—między innemi—celu, by mieć poparcie rządu austrjackiego dla lóż i ich polityki. Tak patrząc na te sprawy, sądzimy, że wypadki austrjackie wiążą się ściśle z walką i zabiegami, jakie na terenie międzynarodowym prowadzi wolnomularstwo w obronie swego dominującego doniedawna w polityce światowej stanowiska. Tylko wówczas można zrozumieć zarówno przebieg walk wiedeńskich, jak i ich znaczenie dla polityki europejskiej i światowej, jeśli się na nie spojrzy z powyższego punktu widzenia, jeśli się je będzie uważało za ogniwo w długim łańcuchu wydarzeń.

Różne siły i czynniki poniosły klęskę na ulicach Wiednia; wśród nich nie ostatnie miejsce zajmuje masonerja światowa.

STANISŁAW KOZICKI

BOJE NAFTOWE

AUTOR interesującego reportażu publicystycznego o międzynarodowej walce o źródła naftowe, A. Zischka[1]) oparł swoją książkę na całej masie informacyj z tej dziedziny, dodał wiele własnych naświetleń, w sumie stworzył całość wartościową jako romans, — dużo jeszcze jednak wody upłynie, zanim można będzie się wypowiedzieć o wartości podanych w niej wiadomości

Z chwilą wynalezienia i zastosowania lampy naftowej, nafta stała się towarem; stała się ona towarem cennym z chwilą, kiedy ruszył pierwszy samochód, a gdy ruszył z miejsca na polach Flandrji pierwszy tank i gdy *„Queen Elisabeth"*, pierwszy pancernik, opalany mazutem, spuszczony został na wodę, te resztki zgniłych mamutów stały się panami morza i pól bitew i twórcą imperjów.

Dziś, jak i przed wiekami, losy narodów rozstrzygają się na polach bitew, bitew przebytych na polu walki, lub tych, których groza unosi się nad stołami konferencyj dyplomatycznych albo dźwięczy poza zasłoną dyplomatycznych frazesów. Kto nie ma armji, tego zewnętrznego wyrazu tężyzny i chęci życia, podobnie jak i woli jej utrzymania i rozwoju, ten pozostaje w społeczności międzynarodowej jedynie jako rezerwoar koncesyj dla wzajemnych *clearing*'ów. Kto zaś nie ma nafty, ani dostępu do niej, ten nie ma armji.

Dwa wieki ubiegłe ustaliły pewną „technikę" polityki, celem: a) opanowania rynków i źródeł surowców, b) opanowania dróg komunikacji z rynkami i surowcami. Polityka naftowa stała się więc też walką o własność i dostęp do źródeł naftowych, walką tem intensywniejszą, że skupiły się w niej zainteresowania nietylko giełd, ale i sztabów.

Książka Zischki nie jest traktatem politycznym, wartość jej jest wartością źródła informacyj, a także, biorąc mniej naukowo, zawiera ona dużą dozę podniety dla wyobraźni, co stanowi nieraz główny cel wielu książek politycznych. Dla nas jednak ma ona większe znaczenie: więcej się z niej można nauczyć, niż z rozpraw w rodzaju „Suwerenność Państw w świetle Paktu Ligi Narodów" albo o sposobach rozróżnienia zbrojeń defensywnych i ofensywnych itp. facecyj.

Poznajemy tam zlekka inną politykę, niż ta, o której się pisuje normalnie artykuły polityczne, i o której normalnie pisać można.

Książkę Zischki oceni nietylko czytelnik „na serjo". Odpowiada ona w całej rozciągłości typowi książki awanturniczej, tak niesłusznie pogardzanej.

Cóż bardziej romantycznego, godnego pióra Jacka Londona czy Coopera, jak epicka historja powstania *„Anglo-Persian Oil"?*

Koniec XIX-go stulecia, nafta w epoce lampy naftowej, młody inżynier kanadyjski, William Knot d'Arcy studjuje w wolnych chwilach historję, wyczytuje tam podanie, że przed wiekami przed ołtarzami Ahuramazdy płonęły wieczne ognie „wychodzące z ziemi". Dziwną drogą wyobraźni d'Arcy konstruuje sobie *idée fixe*, względnie wpada na genjalny pomysł, że ów wieczny ogień mógł pochodzić jedynie z nafty. Jedzie do Persji, dziesiątki lat prowadzi poszukiwania, ognie Ahuramazdy pochłaniają cały majątek własny, cudze pieniądze, pożyczone w Londynie — bez rezultatu. D'Arcy musi zaprzestać poszukiwań i pracować na życie. Wstępuje na służbę szacha, buduje koleje i kanalizacje miejskie. Jako zasłużony otrzymuje od szacha przywilej na „poszukiwanie, wiercenie i grzebanie w ziemi według swego uznania w całej Persji" oraz na własność wszelkie produkty podziemne, „jakieby sobie życzył".

W rok potem (1902) tryska pierwsze źródło naftowe, dowiercone w perskim Mossulu. D'Arcy jest wielokrotnym miljonerem.

Ma on jednak teraz 62 lata, nafta mu się znudziła, a miljony mało interesują. Myśli o zbawieniu duszy i sposobie, w jaki swe bogactwa zużyć na cele dobroczynne.

Ale sprawy te interesują kogo innego. W Londynie są ludzie, którzy oceniają już naftę z nowego punktu widzenia. Admirał lord Fisher, twórca *dreadnought*'a marzy o *superdreadnought*'cie, on

[1]) A. Zischka: *„La guerre secréte pour le Pétrole"*. *Paris, Payot.* —

i Winston Churchill postanawiają oprzeć przyszłą flotę brytyjską o statki pędzone mazutem. Nafta staje się artykułem mobilizacyjnym floty w miejsce węgla. Ale w Anglji niema nafty. Trzeba zatem zabezpieczyć sobie na własność tę, która jest najbliżej.

Skądinąd kompetentne czynniki wiedzą już o nafcie perskiej i o monopolicznej koncesji d'Arcy'ego.

W tym to czasie d'Arcy wsiada na statek i wraca do ojczyzny. W czasie podróży poznaje młodego misjonarza, który wraca właśnie z misyj afrykańskich. W ciągu kilku dni zawiązała ich serdeczna przyjaźń, zadzierzgnięta wśród długich rozmów o dziele misjonarskiem. Na krótko przed wylądowaniem d'Arcy dokonał, na ręce owego misjonarza, cesji swych praw na cele ewangelizowania Persji.

W parę tygodni potem, młody agent *Intelligence Service*, Sydney - Szmul Reilly - Rosenblum zdawał swym kierownikom raport z udanej misji, nieco innej coprawda od ewangelizowania Persów, i składał na ich ręce otrzymaną od d'Arcy'ego koncesję.

Niezwłocznie powstaje towarzystwo naftowe „*Anglo - Persian Oil*" z kapitałem początkowo 2.000.000 funtów szterlingów, towarzystwo akcyjne, w którem 56% akcyj dzielą Admiralicja i *Intelligence Service.*

A inne karjery życiowe, związane z historją nafty i dziejami świata?

Marcus Samuel, w r. 1860 bachor żydowski z ghetta londyńskiego, w r. 1895 organizator transportu naftowego przez kanał Suezki (*Shell Co.*, później sfuzjonowany z *Royal Dutch—Royal Dutch and Shell Co.*), w r. 1902 lord major Londynu, w r. 1921 lord Bearsted, ojciec Herberta Samuela, jednego z przywódców partji liberalnej i byłego ministra w rządzie koalicyjnym Mac Donalda.

Sierota bez pracy i środków utrzymania w 12 roku życia, w 20 roku urzędniczyna bankowy za 25 florenów miesięcznie w Amsterdamie, w 35 roku prezes „*Royal Dutch and Shell*", (kapitał w r. 1895 — 5.000.000 florenów, w r. 1933 — 998.000.000 flor.), w r. 1920 małżeństwo z córką białego generała rosyjskiego. Do wielkiej polityki wkracza miłość do kobiety, nienawidzącej nowej Rosji.

W okresie powojennym nafta działa już wyłącznie w sferze najwyższej polityki, zwołuje konferencje międzynarodowe, wiąże sojusze i kieruje konfliktami. Rok 1925 inauguruje walkę Deterdinga i Basila Zacharowa z Sowietami. Tajemnicza historja jej niewiele tylko jest znana publicystyce światowej. Mało też wie o niej Zischka.

W sumie warto przeczytać całość i wiele szczegółów zapamiętać.

WOJCIECH KORYBUT

U ŹRÓDEŁ „SANACJI"

By zrozumieć czasy dzisiejsze, — trzeba zrozumieć ich przyczyny.

By zrozumieć „sanację" — trzeba znać jej przeszłość. Nietylko przeszłość przedmajową, czy choćby wojenną (legjonową). Również i przeszłość najdawniejszą, wiążącą się z okresem wrzenia rewolucyjnego w państwie rosyjskiem po roku 1905-ym.

Leży przed nami dokumnt tej epoki, pochodzący ze strony sanacyjnej. Jest nim książka p. Wł. Pobóg-Malinowskiego p. t. „Akcja bojowa pod Bezdanami 26. IX. 1908". (Warszawa 1933, Główna Księgarnia Wojskowa, stronic 214, +3 mapy, +dwa *facsimile* dokumentów + współczesne portrety J. Montwiłł-Mireckiego, J. Piłsudskiego, A. Szczerbińskiej dziś Piłsudskiej, A. Prystora, T. Arciszewskiego, E Gibalskiego, W. Momentowicza, A. Lutze-Birka, W. Sławka, Cz. Swirskiego, K. Bojarskiego, J. Balagi, J. Kobiałki, Z. Jasińskiego, K. Młynarskiego, M. Paszkowskiej, Biniszkiewicza, J. Fijałkowskiego, I. Grabowskiego, C. Kozakiewiczówny i Cz. Zakrzewskiego).

Zapoznajmy się z cytatami. Oto cytata ze str. 74-75:

„Po niejakiem czasie Tarantowicz ukazał się nagle w Krakowie. Przybył tu, wysłany przez ochranę w towarzystwie 2 jej ajentów, z poleceniem odegrania komedji skruchy, wyrażenia żalu, wstąpienia do organizacji i dostarczania ochranie potrzebnych jej informacyj. W Krakowie, dotarłszy jakąś drogą do Mańkowskiego („Ludwika"), dostał się przez niego do siedziby Komitetu Zagranicznego na ul. Szlak nr. 6, gdzie w obecności kilku osób przyznał się do pracy w ochranie, wyraził gorącą chęć wycofania się z jej bagna i prosił o ponowne przyjęcie do partji. Czy postępował szczerze? Trudno osądzić. W Komitecie Zagranicznym i wogóle w partji nie wierzono w szczerość jego intencyj. Zaszkodził tyle, tylu ludzi w więzieniu zamknął. Musi być jakaś kara za grzechy. Z drugiej strony, nieprzyjęty do partji, mógłby jej szkodzić w dalszym ciągu, pracować w ochranie z większą jeszcze gorliwością. To też zaocznym wyrokiem partyjnym skazany został na śmierć. Gdy przyszedł na ul. Szlak po raz drugi czy trzeci, oświadczono mu, że ze względu na wysoce ideową i pełną poświęcenia pracę w partji w okresie rewolucji, puszcza mu się płazem popełnione zbrodnie, ale pod warunkiem, że bezzwłocznie wyjedzie do Ameryki; w partji, ani w kraju miejsca dla niego niema. Tarantowicz zgodził się i fakt ten świadczy wymownie o szczerości jego skruchy, żalu i obietnicy poprawy. Do Genui, tu bowiem wsiąść miał na okręt amerykański, odwieźli go dwaj członkowie Organizacji Bojowej. Na terytorjum włoskiem oświadczono mu, że muszą wstąpić do Rzymu w celu uzyskania brakujących wiz. W Rzymie zaprowadzono go do wynajętego zawczasu małego pokoiku na mansardzie. Na obiad dano mu tu jakąś bardzo słoną rybę, czy kiełbasę. Po spożyciu posiłku Tarantowicz sięgnął po stojącą na stole karafkę z wodą, zatrutą cyjankiem potasu. Zdążył wypić zaledwie kilka łyków — wobec momentalnego działania trucizny, zaczął przeraźliwie krzyczeć. Z obawy przed wkroczeniem do pokoju niepotrzebnych świadków, zasztyletowano go. Trupa złożono w koszu. Poczem wykonawcy wyroku, zamknąwszy mieszkanie na klucz, odjechali do Krakowa.

Wybrano Rzym na miejsce egzekucji, gdyż w Krakowie i jego najbliższych okolicach nie można było narażać się policji austrjackiej, mającej już i bez tego dość kłopotów z szukającymi tu schronienia

bojowcami. Lecz wybór odległego Rzymu nie uchronił ciała kierowniczego partji przed przykremi konsekwencjami. W kilka dni bowiem po śmierci Tarantowicza do zamkniętego pokoiku na mansardzie wkroczyła policja włoska. Trup był już w stanie rozkładu. Poddano go szczegółowym oględzinom. W jednej z kieszeni marynarki znaleziono jakieś notatki, koszula zaś posiadała markę jednej z firm krakowskich. W związku z temi wynikami śledztwa urzędnik policji włoskiej przybył do Krakowa. Konferencja jego z władzami austrjackiemi doprowadziły do obciążenia podejrzeniem P. P. S.

Sprawa ta przez czas dłuższy głośnem echem rozbrzmiewała w prasie europejskiej. W czasopismach ilustrowanych umieszczano fotografje „trupa w koszu."

P. Pobóg-Malinowski jest w swej książce bardzo dokładny w podawaniu nazwisk „bohaterów" poszczególnych czynów bojówki. Ale tutaj odstąpił od swojej zasady i nazwisk wykonawców wyroku nie podał. Nic w tem jednak niema dziwnego. Sprawa „trupa w koszu" była istotnie w swoim czasie głośna. Tak głośna, że echa jej — z nazwiskami— nie przebrzmiały jeszcze i dzisiaj. Echa te pozwalają zrozumieć, że zbytnia drobiazgowość mogłaby tu być niedogodna. Może zaszkodziłaby dziś komuś w jego roli... tam, gdzie Tarantowicz dojechać nie zdołał?

Ale wróćmy do biednego Tarantowicza. Któż to był?

Poszperajmy znowu w cytatach. Oto cytata ze str. 33-35:

„Pierwszym takim czynem bojowym był śmiały napad na pociąg, którym jechał pod eskortą wojskową płatnik kolei nadwiślańskiej, Wostrykow. Akcji tej dokonano na st. kol. Sławków w dn. 25 października 1907 r. Kierownictwo akcji spoczywało w ręku Tomasza Arciszewskiego, jego najbliższymi pomocnikami byli instruktorzy Helman, Kostek-Biernacki i Tarantowicz („Albin", późniejszy prowokator, na mocy wyroku partyjnego otruty w Rzymie). Oddział bojowców, pochodzących wyłącznie z pobliskiej kopalni Niemce, składał się z 2 szóstek.

Akcja polegała na unieruchomieniu służby stacyjnej, opanowaniu lokomotywy, zepsuciu połączeń telefonicznych i telegraficznych, wreszcie na rzuceniu bomby pod wagon, w którym mieściła się ochrona wojskowa...

Po uciszeniu się strzelaniny na rozkaz Arciszewskiego, bojowcy weszli do wagonu płatnika, rozbili tam szafę pieniężną i skonfiskowawszy 12621 rb. 43 kop. obsadzili lokomotywę, uwolnioną już tymczasem od zwykłej obsługi i odczepioną od pociągu; w kilka chwil potem cały oddziałek, umieszczony na lokomotywie, ruszył w kierunku Strzemieszyc".

A oto cytata ze str. 67:

„Arciszewski... stosując się do wileńskich jeszcze postanowień wydziału, zajął się wysłaniem do Wilna dynamitu, potrzebnego do akcji bezdańskiej. Kluski dynamitowe zdobyto, dzięki stosunkom wśród robotników, w pobliskiej kopalni „Niemce". Stąd do mieszkania konspiracyjnego, zdaje się, w Sosnowcu, przenosił je wskutek polecenia Arciszewskiego Edmund Tarantowicz".

Stronica 68-69:

„Tarantowicz... cieszył się dotąd opinją bardzo dzielnego, odważnego, energicznego i wysoce ideowego bojowca".

I dalej:

„W związku z tą decyzją Gibalski i Tarantowicz w dniu 25 kwietnia udali się do Ostrowca... (Strażnik) zbliżył się do Tarantowicza z okrzykiem *„stoj, ruki w wierch!"* Tarantowicz odpowiedział strzałami, raniąc przytem nie atakującego strażnika, lecz przechodzącego w tym czasie przez peron szeregowca z eskorty wojskowej pociągu. Rannemu żołnierzowi i krzyczącemu strażnikowi pośpieszono z pomocą. Wywiązała się strzelanina, w której Tarantowicz został poważnie ranny. Schwycono go i rozbrojono... Gibalskiemu natomiast udało się pod gęstym ogniem wydostać się...

Tarantowicz poważnie ranny, w dodatku zaś — nieludzko przez żandarmów skatowany, „nieprzytomny z bólu", załamał się psychicznie. Nie wytrzymał tortur i „sypnął" towarzyszy".

Stronica 72:

„(O akcji bezdańskiej) Tarantowicz wiedział coś niecoś. W planowaniach akcji bezdańskiej brano go pod uwagę jako jednego z jej uczestników". (Akcja ta była jednem z najpoważniejszych wystąpień partji. Brali w niej udział bezpośredni Józef Piłsudski, Walery Sławek, Aleksander Prystor, T. Arciszewski, — a pośredni Prystorowa i A. Szczerbińska, dziś Piłsudska).

Stronica 71-72:

„Tarantowicz... stwierdzał (w „grypsance"), że wskutek dotkliwego pobicia przez żandarmów jest cały obandażowany i liczy na swem ciele ponad 70 ranek i ran". (Następuje opis, jak Tarantowicz chciał „wsypać" niejakiego Dehnela).

Stronica 72-73:

„Nowosiński, opisując tu szczegóły swego aresztowania i pobytu w więzieniu, wspomina m. in. i o spotkaniu swem z Tarantowiczem w gabinecie naczelnika ochrany, pułkownika Zawarzina. „Kiedy znaleźliśmy się w pokoju, w którym prócz ciężkiego stołu i dużej półki z książkami nic więcej nie było, usiadłem sobie na stole, a Tarantowicz oparł się o ścianę. Przez kilka minut panowało milczenie, a gdy spojrzałem na Tarantowicza, który patrzył na mnie, zobaczyłem na jego policzkach duże łzy. Zacząłem mu się uważnie przyglądać, chcąc wywnioskować, czy jest to z jego strony tylko manewr, czy żal i skrucha. Wtedy on zaczął mówić cichym i jakimś dziwnie smutnym głosem: „Wiem, że wszelkie tłómaczenie nie może być usprawiedliwieniem moich czynów i że winy moje nie mogą mi być wybaczone przez partję i moich dawnych towarzyszy. Jednakże chciałbym, by moi dawni przyjaciele nie myśleli, że to, co się stało, stało się z mojej strony z rozmysłem i że to, co robię, robię z chęcią i że za czyny swe nie żałuję. Kiedy byłem aresztowany, zostałem tak strasznie skatowany, że nieprzytomny z bólu, nie wiedząc jak i kiedy, wskazałem mieszkanie Pronobisów w Ostrowcu i bodaj kilka innych, a kiedy odzyskałem przytomność, przedstawiono mi skutki moich zeznań, że „Franek", ciężko ranny w mieszkaniu Pronobisów, jest aresztowany, i że oprócz „Franka" i Pronobisów wsypałem wielu innych, którzy już są aresztowani i że ze strony moich dawnych towarzyszy nie mogę się spodziewać nic innego, jak tylko śmierci i że ratować się mogę, tylko oddając

się na usługi ochrany. A potem już bardzo umiejętnie, — prośbami, groźbami, obiecankami — umiano tak wpłynąć na mnie, że to nie partja, lecz ochrana dąży do uszczęśliwienia ludzkości. Ja, będąc zupełnie wyczerpany wskutek pobicia, czego mimo trzechmiesięcznego okresu od czasu aresztowania pozostały tak widoczne ślady, poddawałem się biernie ich żądaniom. Dziś jednak jest mojem dążeniem, bym mógł wyrwać się z rąk ochrany, lecz jest to zadanie bardzo trudne, gdyż jestem stale pod ścisłą obserwacją, ale mam już gotowy plan ucieczki, który w ciągu dwuch tygodni doprowadzę do skutku i oddam się w ręce „Stanisława" (Arciszewskiego) i „Franka" (Gibalskiego). Na moją propozycję — pisze dalej Nowosiński — by się zastrzelił, odpowiedział, że nie ma odwagi, choć dawniej nigdy się śmierci nie obawiał (jako bojowiec był bardzo odważny i dzielny). Odezwał się dzwonek i wkrótce wezwano nas do Zawarzina. Tarantowicz przed wyjściem jeszcze ostrzegł mnie, że ci, którzy siedzą ze mną w celi, to są prowokatorzy: Wolgemut z Siedlec i Borowski z Płocka".

Tyle o Tarantowiczu mówi w swych wspomnieniach St. Nowosiński... Trudno przypuścić, by rozmowa ta i łzy były tylko manewrem. Zagryzać istotnie musiały go wyrzuty sumienia. Ochrana jednak miała rękę zbyt twardą. Widmo szubienicy również mogło tu mieć swoje znaczenie".

Jak widać z tych wszystkich cytat, Tarantowicz był wybitną osobistością w partji. Gdyby nie splot okoliczności, który zwichnął jego karjerę, byłby on zapewne zaszedł równie daleko, jak jego towarzysze. Byłby może dziś ministrem, wojewodą, generałem, dyrektorem banku, — ambasadorem...

Wina jego wobec partji była niewątpliwie duża,—ale raczej mimowolna i uwarunkowana okolicznościami. Kto wie, czy gdyby go ujęto zdrowego (wszak przy aresztowaniu został on ciężko ranny!), załamałby on się równie łatwo i czy nawet najokrutniejsze tortury byłyby przełamały jego opór. To też w tych warunkach uderza bezlitosny sposób, w jaki partja się z nim obeszła. Przecież, skoro okazał skruchę, wysłanie go do Ameryki byłoby wystarczyło w zupełności.

Uderza pozatem sposób wykonania wyroku. Jeśli już go miano wykonać, czy nie można tego było zrobić w sposób bardziej rycerski? Żyjemy w świecie cywilizacji zachodniej — instynkt europejczyka wzdraga się przed podobną obłudą, jaką wykazali wykonawcy wyroku. Czyż nie można było, choćby tamże na mansardzie w Rzymie, wyroku Tarantowiczowi odczytać i dopiero potem — otwarcie — zadać mu cios?

Rozpisałem się szeroko nad sprawą Tarantowicza, jako wysoce charakterystyczną. Ale i inne cytaty zasługują na uwagę. Oto cytata ze str. 7-8:

„W połowie roku 1907 Organizacja Bojowa P. P. S. weszła najwyraźniej w okres konania... Sytuację — już beznadziejną — pogarszał, komplikował jeszcze bardziej brak środków materjalnych. Wzrastający rozstrój organizacyjny siłą rzeczy musiał się odbić na ilości dokonywanych czynów bojowych. W dodatku, akcje, jeśli chodzi o ich wyniki, odbiegały daleko od dawnych wzorów. W ciągu pierwszych miesięcy 1907 r. nie zdołano przeprowadzić większej konfiskaty; do akcyj w tym okresie najbardziej „dochodowych" należały dokonane pod kierownictwem Tomasza Arciszewskiego („Stanisława") akcje pod Rejowcem (17 stycznia — 3634 rb. 21 kop.), na urząd pocztowy przy ul. Wspólnej w Warszawie (22 lutego — 6427 rb. 94 kop.) i na wóz kasowy zakładów monopolowych w Łodzi (22 kwietnia — 4925 rb.). Pozatem należy tu wymienić napad na poborcę przysięgłego kasy powiatowej w Łowiczu (2 stycznia — 1567 rb.), na urząd pocztowy i monopol w Wisznicy, w powiecie Bielskim (9 stycznia — 1242 rb. 84 kop. gotówką, 1689 rb. 68 kop. markami pocztowemi), na st. kolejową Nałęczów (2 lutego — 566 rb. 25 kop. gotówką, 18 rb. 25 kop. markami pocztowemi i weksel 3 rb. 75 kop.), oraz na urząd pocztowy w Łosicach (początek lipca — 2393 rb.). Pozostałe — nieliczne już zresztą — akcje przyniosły niewiele; taki np. napad na st. kolejową Suchedniów, dokonany 18 kwietnia, dał zaledwie 102 rb. 55 kop. — Napady na monopole, mimo, że powtarzają się w tym czasie bardzo często, nie mogły zasilić wydatnie kasy partyjnej. Zdobycz wahała się zwykle od kilku do kilkudziesięciu rubli (np. w Samsonowie, w Kieleckiem, w nocy z 6 na 7 czerwca 2 rb. 75 kop.), rzadko przekraczała 100 rb., a w wyjątkowych tylko wypadkach wyrażała się w kwocie paruset rubli (np. monopol w Będzinie 17 sierpnia — 570 rb.)".

Jak widzimy, zestawienie to obejmuje tylko „konfiskaty" (jakie to zgrabne określenie!), dokonywane na instytucjach rządowych, lub z rządem związanych.

Inne cytaty. Stronica 178:

„Akt oskarżenia (w spr. napadu w Bezdanach) mówi o 477.408 rb. 84 kop., natomiast osoby, do których się w tej sprawie zwracałem z prośbą o informacje, stwierdzają zgodnie i kategorycznie, że do kasy partyjnej nie mogło wpłynąć więcej, jak 300 tysięcy rubli. Jakże wytłómaczyć należy tę tak jaskrawą różnicę?" (Następuje długi wywód, oparty na domysłach, tłómaczący, co się mogło stać z pozostałemi zgórą 150 tysiącami rubli).

Cytata ze str. 59:

„Mapy, jakiemi posługiwano się w tych wywiadach (w Bezdanach pod Wilnem), — pruskie kopje rosyjskiej 3-wiorstówki,—nie były dokładne".

Cytata z listu Józefa Piłsudskiego na str. 28:

„Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę!"

Cytaty z zeznań Piłsudskiego na str. 95:

„Męczyła mnie ogromnie niewyraźność stosunków dowódcowych: nie byłem wyraźnie wyznaczonym dowódcą. Wskutek tego np. nie chciałem wchodzić w rozmowy co do roli, jaką poszczególni ludzie odgrywać będą"... „Niewyraźność stosunków dowódcowych odbiła się na całej robocie, czyniąc ją mniej pewną, dla mnie szczególniej przykrą była. Oczekiwałem, że z ich strony propozycja ta wyjdzie".

Uderza pozatem we wszystkich cytowanych w książce źródłach współczesnych nieobecność pojęcia walki z Rosją. Mówi się tam tylko o walce z caratem — a więc z istniejącym w państwie rosyjskiem ustrojem.

Ale dość tych cytat. Wystarczają one aż nadto, by sobie o warunkach narodzin dzisiejszej „sanacji" oraz o jej początkowej atmosferze wyrobić pojęcie.

X. Y.

ROK 476

W PODRĘCZNIKACH historji przyjęto traktować rok 476 po Chrystusie, jako datę przełomową. Mówi się, że wtedy upadło Zachodnie Cesarstwo Rzymskie, skończyła się era historji starożytnej, rozpoczęło się średniowiecze. Pogląd ten, wytworzony przez historyków doby renesansowej, utrzymywał się w nauce, szczególnie w historjografji niemieckiej, aż do drugiej połowy XIX wieku. Dopiero badania Mommsena rzuciły zupełnie inne światło na ten okres historji rzymskiej. Dzięki znacznemu pogłębieniu przez Mommsena i jego następców, szczególnie nowszych historyków włoskich, znajomości dziejów Italji V i VI wieku, utrwala się obecnie coraz bardziej przekonanie, iż r. 476, rok t. zw. „rewolucji Odoakra“ nie jest bynajmniej datą przełomową dziejów powszechnych, jest conajwyżej datą zmiany ustroju Cesarstwa. Za datę końcową dziejów rzymskich na Zachodzie należy przyjąć rok podboju Włoch przez Belizarjusza (540) lub rok najazdu Longobardów (568).

Obszerne studjum, zestawiające krytycznie dotychczasowe wyniki, dotyczące r. 476 i dające syntezę wypadków tego okresu, ogłosił ostatnio p. Kazimierz Zakrzewski[1]). Omawia się w niem dokładnie okres od r. 472 do 476, czyli od upadku cesarza Antemjusza, aż do zajęcia Rzymu przez Odoakra. W burzliwych tych latach przesunął się szereg efemerycznych cesarzy zachodnio-rzymskich (Olibarjusz, Glicerjusz, Nepos, Romulus Augustulus), cesarzy bez znaczenia i władzy, wysuwanych i strącanych kolejno przez wojsko, arystokrację, skupioną w Senacie, lub Konstantynopol. Nieudolność panujących i układ stosunków polityczno-społecznych przyczyniły się do kompletnego upadku władzy i autorytetu cesarskiego na Zachodzie. Wojsko, pozbawione prawie zupełnie elementu narodowego (rzymskiego), składa się z mniej lub więcej zromanizowanych najemników germańskich pod komendą oficerów tegoż pochodzenia. Rzecz oczywista, że dba ono więcej o swoje sprawy (żołd i nadział ziemi), niż o dobro państwa, i że cesarze mają znacznie mniejszy mir i posłuch śród szeregów, niż wódz naczelny armji, noszący teraz tytuł „patrycjusza“, stworzony przez Konstantyna Wielkiego. Każdorazowy też patrycjusz jest faktycznym władcą państwa, którem rządzi w imieniu cesarza. Nic więc dziwnego, iż dzieje wieku V na Zachodzie są wypełnione takiemi postaciami patrycjuszów, jak Stylicho, Konstancjusz, Aecjusz, Rycymer, Orestes, którzy pomimo swego germańskiego pochodzenia tak dalece byli zromanizowani i zostawali pod takim urokiem Rzymu, iż zupełnie szczerze naogół usiłowali ratować państwo, zagrożone zagładą przez Wielką Wędrówkę Narodów. Jednocześnie ze wzrostem znaczenia naczelnego wodza zachodzą w Italji duże przemiany społeczne i gospodarcze. Ziemię skupia w swych rękach arystokracja (przeważnie już chrześcijańska), zasiadająca w Senacie, którego wpływów nie złamała ostatecznie reforma Dyoklecjana. Teraz odwieczna ta instytucja odzyskuje dawne swe znaczenie w zarządzie cywilnym państwa.

Patrycjusze, chcąc mieć sojusznika w walce swojej z władzą cesarską i nie mogąc rządzić państwem wyłącznie przy pomocy nielicznego stosunkowo wojska, złożonego z cudzoziemców najemników, raz po raz porozumiewają się z przedstawicielami potężnych rodów senatorskich, coraz bardziej także muszą się liczyć z wzrastającą potęgą Kościoła. Cesarstwo Wschodnie, mniej trapione przez najazdy, a przekształcające się powoli w państwo narodowe greckie, korzysta z każdej sposobności, aby rozciągnąć swe wpływy i na zachód. Szersze warstwy ludności, gnębione przeróżnemi „kryzysami“, osłabione depopulacją, zbiedniałe i uzależniane coraz bardziej od arystokracji, są przeważnie zrezygnowane i obojętne na ciosy, spadające na państwo, utratę prowincyj i osiedlanie się plemion germańskich w granicach rzymskich.

Na takie czasy przypada „rewolucja Odoakra“. Ostatni patrycjusz Orestes, zagarnąwszy władzę, osadził na tronie cesarskim swego nieletniego syna, Romulusa Augustulusa. Lecz rządził w jego imieniu zaledwie rok jeden. Nie najazd zzewnątrz, jak się zwykle przyjmuje, ale, co podkreśla p. K. Zakrzewski, bunt armji italskiej, niezaspokojonej w swych żądaniach, kładzie kres tym rządom. Zbuntowane wojsko wybiera na swego *rex*'a — wodza niedawno naturalizowanego na gruncie rzymskim, germanina Odoakra, który po odniesienieniu zwycięstwa i po śmierci Orestesa zostaje panem sytuacji. Odoaker dla utrwalenia swej władzy nie poszedł utartą drogą poprzedników, nie narzucił Rzymowi cesarza (swej kreatury), ani nie ogłosił się niezależnym władcą, jak się zwkle przyjmuje. Po porozumieniu się z Senatem co do zaspokojenia żądań armji i po przeprowadzeniu pertraktacyj z cesarzem Wschodu, Zenonem utrwala się w r. 480 taki stan rzeczy, iż cesarz Wschodu został uznany za jedynego monarchę całego Imperjum, zaś Odoaker został jego namiestnikiem w Italji. Dlatego to właśnie nie można uważać r. 476 za datę końcową Cesarstwa Zachodniego. Upadło wtenczas nie ono, a conajwyżej pozostałości systemu dyoklecjańskiego, ustanawiającego dwuosobową władzę cesarską jako regułę. Imperjum zostało znów zjednoczone pod jednym cesarzem. Odoaker zadowolił się rolą zastępcy cesarza i jego dalegata na Italję o bardzo zresztą szerokich kompetencjach. Pod względem prawnym mniej więcej takąż rolę odgrywał i następca Odoakra, Teodoryk Wielki. Dlatego też, jak utrzymuje p. K. Zakrzewski, r. 476 nie wywarł większego wrażenia na współczesnych. Dopiero późniejsza historjografja przypisała tym wypadkom większe, niż należało, znaczenie. Rok 476 nie jest, według autora rozprawy, w historji jakąś datą przełomową.

Monografja p. K. Zakrzewskiego, dzięki szczegółowemu omówieniu historycznych wypadków tych czasów i obszernemu przedstawieniu stosunków społeczno-politycznych tego okresu jest ciekawą lekturą dla każdego, interesującego się epoką jednego z największych „przewrotów“, jakie znają dzieje ludzkości, epoką Wielkiej Wędrówki Narodów i końca Rzymu. Nie jedno zdarzenie z tamtych czasów przypomina wypadki, zachodzące obecnie.

LAMBDA

---

[1]) Kazimierz Zakrzewski. „Rewolucja Odoakra“. Rozprawy Wydziału Historyczno-Filozoficznego Polskiej Akademji Umiejętności. Serja II, T. XLIV, № 2. Kraków, 1933. Str. II+92.

A GDZIE FRANCUZI?..

SKARŻĄ się pono administratorzy i dyrektorzy wielkich paryskich firm wydawniczych, że w dzisiejszej Polsce mikroskopijnie mało rozchodzi się francuskich książek, że to wogóle żaden rynek zbytu, że wprost się jako wielki klijent nie liczy, że więcej odbiorców ma książka francuska w Brazylji czy w Kolumbji, że Niemcy kupują o 500% więcej, a Czechosłowacja o 50% więcej, że pod tym względem pogarsza się z roku na rok, że przed wojną nietylko Warszawa, ale nawet Galilea kupowała znacznie więcej i że, jak widać z tego, ani beletrystyka francuska, ani naukowa produkcja nie jest w Polsce popularna.

Zdaje się, że nie egzagerują. Stan faktyczny nie odbiega znacznie od tych pessymistycznych ocen paryskich księgarzy, wprost „fiszujących" sobie rynek polski. Jest tak, a nie inaczej. A ongiś było inaczej. Ale dlaczego jest tak? Trzeba jednak nad tem się zastanowić i jakoś to wybadać.

Otóż w dużej mierze współwinien za tem stan zobojętnienia u nas dla nowych, jak się to mówi, „płodów ducha" francuskiego jest, obok nędzy, cały personel, cały dobór pośredników między jednem piśmiennictwem a drugiem. Skład chemiczno-etniczny tego personelu zbyt jednolity i jednostronny, i to tak w informatorach entuzjastach, jak i w tłomaczach i następnie w recenzentach. Pośrednicy ci („*schadchen*") ściśle wedle obmyślanego strategicznego planu rają, doradzają, lansują u nas tylko i wyłącznie jeden gatunek, jedną odmianę twórczości francuskiej, tej odmianie wyrabiają kredyt i popularność, całkiem rozmyślnie, tendencyjnie i planowo przemilczając wszystko, co poza peryferją tej odmiany.

Wykazała to ostatnio solidarność, z jaką *racaille* warszawska podparła reklamowo książkę, w której, mówiąc słowami... Heinego, „co słowo to nocnik, a żaden nie pusty...". Doszło do tego, że odpowiednio zaagitowany i zgratyfikowany adorator Norwida (*sic*) nie wahał się (i to w Radju!) panegiryczeć do mikrofonu *laus* Céline'a, wykazując tem samem, jakiem kabotyństwem był jego dawny kult... „Promethidiona". Tak samo (teraz dopiero) na niemieckie „Podróż do dna gnoju" tłomaczył żyd J. Grünberg i tak samo w emigracyjnych tygodniczkach przepędzonej berlińskiej *vermine* wychwalają to różne wywłoki z suteren literackich. I nie można się potem dziwić, że przy fanatycznej protekcji literackiej, skoalizowanej i skanalizowanej *journaille* takie dzieło staje się *„best seller"* sezonu i rozchodzi w krociach tysięcy egzemplarzy... Ale też nie można się potem dziwić, że w inteligencjach coraz większej ilości narodów europejskich zaczynają literaturę francuską identyfikować z takiemi „żygowinami" paryskich gangrenologów, gonorrohetów i gomorrczyków, a identyfikując i generalizując (błędnie!), zaczynają traktować jako twórczość zadżumioną wszystko, co wogóle przychodzi z Paryża. I unikać i omijać, i nie widzieć.

Winę za taki stan ponosi kartel jednorasowych komiwojażerów literatury, który na jedno wycedzone zachwalenie Mauriac'a będzie sto razy (ongiś) cytował niecnego Margueritte'a, a teraz sto razy Maurois, pod którym to pseudonimem pisze fabrykant płócien z Elbeuf, niejaki Herzog, coś z gatunku naszego łódzkiego Silbersteina.

Jak teraz prezentuje się ta twórczość literacka Paryża etranżerowi, który zaszedłszy do księgarni, zapytuje się, pożąda *„vient de paraître"* z ostatniego sezonu... Aleksandryjskiego... Stawiskiego... (grudzień 1933 i styczeń r. 1934).

Dla zorjentowania się w nowościach klijent dostaje przedewszystkiem naręcze tygodników literacko-politycznych, w których 80% współpiszących nosi nazwiska międzynarodowe — przeważnie niemieckie, chazarskie, ostjudzkie i rosyjskie pseudonimy. O procesach duchowych i moralnych w obecnym Paryżu pouczają tak Francuza jak i Europejczyka, Berl w *„Marianne"*, Hirsch w *„Cyrano"*, Levy Paul w *„Aux Ecoutes"*, Schanzer w *„Vu"*, Schapiro w *„Lu"*, w *„Europe Nouvelle"* Louise Weiss *„la Blonde"*, świeżo na gwałt ozdobiona przez już przepędzanego ministra de Monzie Legją Honorową. W innym tygodniku literackim, w numerze poświęconym Gobineau (1 luty *„La Nouvelle Revue"*) pouczenie Francuzów i etranżerów, kto zacz był główny protoplasta rasizmu, powierzono takim rasistom, jak Robert Dreyfuss i Daniel Halévy!...

I oto okazuje się np., że tegoroczny *„Prix de Renaissance"* wziął młody Chazar besarabski Eljasz J. Finbert za powieść *„Le Jou de Dieu"*, opowiadającą walki muzułmanów z żydami w mieście starożytnym... A l e k s a n d r j i; tak, nawiasem mówiąc, nazywają teraz stolicę, w której, obok dwu wsławionych Aleksandrów, jest jeszcze... most Aleksandra III-go...

Kandydatem do Akademji Nieśmiertelnych jest obok nieco zdemodowanego Paul Moranda... właśnie ten Herzog z Elbeuf („Maurois"). O tym mówi się i pisze najwięcej. Najbardziej to dziś światowy i „wszechświatowy" specjalista we wszystkiem, a szczególniej w W. Brytanji, do której przemawia oficjalnie w odezwach w imieniu Francuzów. Po „genjalnej" *vie romancée* króla Edwarda VII w stylu osławionego niemieckiego Emila Ludwiga (Cohna) dał Maurois (Herzog) powieść *„L'instinct au bonheur"*, by równocześnie w jednem piśmie opowiadać o *„Chanteurs Americains"* w innem o estetyce miast (w *„L'art vivant"*). Fabrykant Herzog z Elbeuf („Maurois"), przy okazji nekrologu zmarłego świeżo pisarza Dandieu, nie omieszkał też robić reklamę przelotną dziełu p.t. *„La Révolution necessaire"*, które tenże zmarły Dandieu napisał razem z Robertem Aaronem (Aroneu); tego Arona nie należy oczywiście mieszać ze świeżo aresztowanym A. M. Aronem, dyrektorem jednego z towarzystw asekuracyjnych, który wplątał w brudne afery *ex*-ministra Dalimier'a. Zmarły O. Dandieu napisał obok innych prac także studjum o... Prouscie i stąd zapewne afekt p. Herzoga, fabrykanta płócien z Elbeuf, protektora Anglji i dynastji Windsor...

Proust jest nadal autorem najmodniejszym i *viribus unitis* całego *noeud de vipéres* najnieśmiertelniejszym. Każdy debiutant, który zacznie od jakiegoś szkicu czy „przyczynku" o twórczości autora Swannów, tem samem zyskuje perpetualną protekcję wszystkich *clerc*'ów ze wszystkich stolic, z Salonikami i z Wassercugami włącznie. Żadnej ujmy kultowi tego „Balzaca naszej doby" nie może oczywiście czynić to, że tegoż samego nazwiska i rasy

deputowany Louis Proust (jak to teraz wyszło na jaw) wziął do łapy od Stawiskiego czeków na dwa miljony! Widocznie należał do Proustów zbiedniałych. Nieśmiertelny Marcel szedł z miljonerów (choć syn doktora), bo tylko z miljonerami się zadawał. Oprócz zmarłego Dandieu'go nowy przyczynek do twórczości Prousta dał „genjalny“ Emeric Fisher p. t. „*L'Esthetique de Marcel Proust*“, stwierdzający węzły „duchowe“, łączące Prousta także i z Bergsonem; wstęp do tej książki napisał „sam“ Valery Larband, co wartość dzieła podnosi jeszcze o kilka pięter. Jeszcze wyżej sięgnął znakomity europejskiej sławy krytyk Guy de Pourtalés ze znanej rodziny dyplomatyczno-bankierskiej (spokrewnionej z Blochami, Pereirami, Dreyfussami, Steinami i t. p.), ten sam Pourtalés, który dał też „genjalną“ monografję berlińskiego Rathenaua i drugą... polskiego Chopina *(sic)*. Nowe *opus* nosi skromny tytuł „*De Hamlet à Swann*“ *(sic)*, gdzie zestawia arcydzieło Szekspira z nadarcydziełem biednego, chorego, „umęczonego“ i zapoznanego za życia Marcelego Prousta, którego jedną z najwięcej także reklamowanych zasług jest zgermanizowanie (sheglizowanie) francuskiej składni i języka. Niestety, pomimo tak forsownie i kolektywnie stosowanej reklamy i rozdęcia wielkości autora „Swannów“, Proust w Anglji, w Niemczech, w Italji, w Polsce się nie przyjął. Natomiast w Sowietach tłumaczą cały zwał szesnastu tomów i wydają z przedmową Łunaczarskiego, jako dokument zeprzałości, skretynienia i uwiądu mentalnego snobestjalskiej burżuazji (nie Shylockracji!)...

Z innych wybitnych dzieł obecnego sezonu każda księgarnia będzie polecała J. Kessela, najbliższego przyjaciela i obecnie pamiętnikarza zmarłego Stawiskiego, powieść „*Les Enfants de la Chance*“. Kessel, jeden z najpoczytniejszych obecnie *romancier*'ów paryskich, pochodzący z Ukrainy, podobnie jak popularny Ałdanow (Landau) należy do obozu „prawicowego“, a obecnie informuje i poucza Francuzów w jednym z tygodników o kolacjach, śniadaniach i obiadach, aranżowanych przez przyjaciela Stawiskiego w „*Claridge*'u“, „*Continental*'u“ i t. p.; rewelacje nieco cynicznego w stylu Chazara cieszą się dużą poczytnością...

Bruno Weill, ze znanej rodziny bankiersko-fabrykanckiej, rzucił na rynek aktualną książkę o Panamie; rolę Hertza, Reinachów, Artona (Arona) i t. p. oczywiście odpowiednio pomniejszył, przesuwając raczej na gojów odpowiedzialność za ówczesną korrupcję i handel ludźmi.

Świetnie się zapowiadający debiutant Baruch dał nowe dzieło p. t.: „*Aron Friedman et Comp*“.

Edward Herriot drukuje teraz swoje panegiryki o Sowietach; obecnie przyszła kolej na Ukrainę, którą jest tak zachwycony (z ilustracjami) jak ongiś... panią Recamier.

Z literatury natomiast poważniejszej należy zanotować przedewszystkiem dwie nowe prace o Bergsonie: André Metz „*Bergson et le Bergsonisme*“ oraz Aimé Pallère'a: „*Bergson et le Judaisme*“ jeszcze ciekawszą. Ze świetnemi drzeworytami Maurice Libera wyszedł „Talmud“ w redakcji pseud. „*Moissie*“. Wydawca Rieder dał wreszcie oczekiwaną już oddawna Aug. Hollarda: „*Le Dieu d'Israel*“, podczas gdy wydawca Gallimard obdarzył Paryż (i świat) wytworną edycją Edmonda Flega „*Jesus raconté par le Juif Errant*“. J. Richarda Blocha w tym sezonie mamy dzieło p. t.: „*Les Juifs et la prise de conscience du monde contemporain*“, podczas gdy Robert Aron poruszył drastyczne zagadnienie aktualne: „*Decadençe de la Nation Française*“ (Rieder), temat, który zresztą w różnych warjantach opracowują liczni inni autorzy pokrewni (Halèvy przedewszystkiem).

Dużą stratę poniósł intelektualizm paryski przez śmierć estetyka i znawcy tańców André Lewinsohna z Petersburga („*Les Visages de la danse*“), oraz przez śmierć Meyersohna z Lublina, filozofa, autora „Dziejów myśli ludzkiej“ i sympatyka syjonizmu.

Żyjącemu Poldesowi gruby tom monografji poświęcił Fernand Picquetil (*Edition Canavalle*). Leo Poldes pochodzi z Węgier, skąd wywodzi się też Victor Basch, „wszechświatowej“ sławy polityk, prezes Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Leo Poldes, sparyzjanizowany „Węgier“, położył duże zasługi jako *debatteur*, *conférencier*, założyciel i organizator Klubu „*Le Faubourg*“ w *Salle* „*des Societs Savantes*“ (Rue Danton), gdzie swego czasu przemawiali omal wszyscy wybitni, bo i dzisiejszy prezydent Lebrun, Herriot i Trocki i *madame* Hanau, a ostatnio już, teraz niedawno, przepędzony stary seksuolog „prof.“ Magnus Hirschfeld, apostoł pederastji i obrońca onanizmu. O tym to paryskim *debating-club*'ie wypowiedział Barthou słynne słowa: „*si le Faubourg n'existait pas, il faudrait l'inventer*“. Nie dopuszczano tu tylko nacjonalistów - integralistów, którzy się zresztą nie napraszali. Monografja Picquetil'a, napisana z okazji czternastolecia, nosi tytuł: „*Leo Poldes et la Club du Faubourg*“. Polaka nie zaproszono tu nigdy żadnego, aczkolwiek przemawiali i Rumuni i Węgrzy i Murzyni... aczkolwiek coprawda Meteków, Massohnów i Mechesów najwięcej.

Czy jakiemś nowem dziełem obdarzy świat w tym sezonie brodaty Benjamin Crémieux, „dusza Penclubu“ paryskiego, nie wiadomo. Również niewiadomo, z jakiej racji pośpiesznie dostała Legję Honorową od odstawionego na szmelc ministra Monzie'go (*mamam* i *madame* semitki) urodzona w Palestynie nowelistka Miriam Harry („*Petite Fille à Jerusalem*“) — a dlaczego np. nie dostał Lucien Astruc, który przetłómaczył przecież studjum Cracauer'a (*sic*) o wielkim (*sic*) powieściopisarzu niemieckim (*sic*), Franku Kafce (*ghetto* praskie).

Aby jakoś przepchnąć swą ostatnią powieść „*Jardin des Bêtes Sauvages*“, Jerzy Duhamel wsunął do niej jako przyjaciela i kolegę szkolnego bohatera powieści Pasquireur'a, żydka prymusa Weilla, „niesamowicie“ genjalnego małego Weilla. Czy ten Weill „rodzynek“ Duhamel'owi pomoże czy zaszkodzi, niewiadomo i czy to się będzie podobało Dawidowi Weillowi, obecnemu prezesowi rady Legji Honorowej, to też jeszcze pytanie... Ale jakiś Weill w powieści jednak być musiał! Bez motywu semickiego żadna książka się w dzisiejszym Paryżu trzech Aleksandrów nie ostoi i protekcji „*noeud de vipères*“ nie uzyska.

Zmieni się ten stan dopiero wtedy, *quand Israel n'est plus roi*... jak brzmi tytuł nowego reportażu (Plon Editeur) braci Tharaud.

I wtedy dopiero panowie księgarze i wydawcy paryscy będą mogli liczyć na większy pokup książek dosłownie francuskich.

Swoich Weillów, Hirschów, Kesselów, Crèmieux, Landauów i Herzogów i my mamy poddostatkiem...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA WIDOWNI

Rzeczy drażliwe. — Relatywizm mechaniczny publicystów. — Front walki literackiej. — Czyja komenda?

NIEDOBRY jest stan umysłów, gdy pisarze tracą wiarę w to, by można było dotrzeć do twardego dna prawdy objektywnej. Niezgłębione wydaje się im wtedy morze zagadnień. Któż im zaręczy, gdzie jest prawda i czy wogóle istnieje? Więc igrają, jak wodniki, z falami sprzecznych sądów, rozkoszując się ich łaskotaniem. Wszystko jest tak względne, że aż śmieszne, zależne od tego, kto mówi i przy jakim wiaterku. Obawę dna posunięto do przesady, męczą się pływaniem, gdy można rozmawiać, stojąc na twardym gruncie. Jakaś lekkość gatunkowa sprawia, że trzymają się na powierzchni, jak korek.

Oto teraz w jednem z pism literackich p. J. E. Skiwski ułatwia sobie w ten sposób drogę do prawdy:

„Wystarczy boyowskie tak zastąpić endeckiem nie i naodwrót, a program będzie gotów. A zatem głośno proklamowana nierozerwalność małżeństwa, potępienie wolnej miłości, nieuznawanie rozwodów, potępienie prostytucji... Tyle programu". („Pion" Nr. 7. str. 1.)

Wynikałoby z tych słów, że powyższe odwieczne zasady etyczne, społeczne i religijne zrodziły się z igraszki fal djalektycznych dlatego tylko, że Boy utrzymuje coś odwrotnego; gdyby zaś „naodwrót" Boy je uznał, to świat chrześcijański proklamowałby rozpustę. Oto do czego dogadać się można, baraszkując polemicznie.

Żeby się utrzymać na tej powierzchni p. Skiwski zbywa się balastu, jakim jest respekt dla adwersarza, i robiąc ze mnie agitatora, utrzymuje, że dyskwalifikuję dzieło p. Pomirowskiego o literaturze współczesnej, bez zaglądania do treści i wartości, tylko dlatego, że mi się nie podoba pochodzenie autora.

Zdawałoby się z tego, że według p. Skiwskiego książka jest dobra i że uchybiam prawdzie, ale p. Skiwski w *meritum* nie wchodzi. Tak samo traktuje moje stanowisko wobec polityki rządu w sprawie „budowania kultury". Według niego jest to tylko przekora endecka, a na dowód, jako kryterjum prawdy, przytacza siebie, że jemu w obozie rządowym jest dobrze („Gazeta Polska" Nr. 44 z r. b.). I to ma być argument przeciwko memu twierdzeniu, że jego obóz działa na komendę masonerji. To był powód całego artykułu, a nawet tytułu („Na komendę").

P. Skiwski i tutaj sprawę mechanizuje: endecy też na komendę działają. Oczywiście każde działanie zbiorowe, jeśli nie ma być bezładne, musi mieć jakąś komendę wspólnego przekonania; ale właśnie chodzi o to przekonanie, a następnie o to, czy lepsza jest komenda sumienia narodowego, czy komenda bezsumienna międzynarodówki.

Mam jednak wrażenie, że się nie dogadamy. Ileż to razy tak rzecz stawiano: — Mówicie — „naród" dlatego, że my mówimy „państwo". I „naodwrót" — jak się wyraził p. Skiwski, jak gdyby takie odwrócenie było możliwe. Publicystom, hołdującym „ułatwionemu życiu" i ułatwionej dyskusji, wydaje się rzeczą konjunktury: tak czy owak, tak i nie, tak czy naodwrót.

P. Skiwski potrafi rozłam społeczeństwa na obozy polski i żydowski nazwać „przywidzeniem najzupełniej fantastycznem" dlatego tylko, że on osobiście jego nie odczuwa. I tu ma słuszność p. Witkiewicz, którego opinje streszczałem w poprzedniej „Widowni", że stan obecny umysłów w sferach literackich jest taki, iż nie stać ich już na uświadomienie sobie tego stanu.

Społeczeństwo rozbiło się na kilka ugrupowań, widocznych na powierzchni życia politycznego: obóz narodowy z jednej strony, a z drugiej „sanacja", socjaliści i żydzi. Tę drugą grupę zapewne w mechanice politycznej różniczkuje to i owo, ale nas interesuje to, że w głębszem życiu duchowem nie ma między temi odłamami różnic. Widać to na literaturze. Wszystkie one zgodne są zasadniczo, jako przeciwieństwo obozu narodowego. W jaki sposób można dojść w literaturze do tak intymnego wspólnego mianownika? Jedynie w ten sposób, że z literatury usunie się wszystkie walory humanistyczne. Tutaj niech panuje zupełny relatywizm, a wtedy łatwo się porozumieć na gruncie prawdy fizykalnej. Pogodził wszystkie grupy materjalizm.

Doszło się do tego poziomu za przewodem genjuszu żydowskiego, który, jak Mojżesz, wyprowadził inteligencję liberalną z domu niewoli, a tym domem niewoli jest narodowa struktura cywilizacji polskiej. To, co dla polskiej duszy twórczej przedstawia się jako jedyna droga do wolności — tworzyć własną cywilizację, nawet w męce, w kierunku największego oporu, aby dźwigać ją niebosiężnie, — dla żydów oczywiście staje się psychicznie katorgą. Dziesiątki lat pracowała myśl inteligencji żydowskiej nad tem, jakby, wyzwoliwszy się z pod komendy polskiego ducha narodowego, stworzyć dla siebie warunki spekulowania nabytkami cywilizacji poza przymusem tworzenia cywilizacji polskiej.

Ta oto myśl połączyła owe trzy ugrupowania; sprawiła to organizacja międzynarodowa, mająca oparcie w masonerji. Pod jej to komendę salwowały się w sprawach ducha od komendy polskiej owe trzy grupy, aby działać pod hasłem: Precz z duchem narodu!

Żydzi wyprowadzają się z polskiego domu niewoli, nie mogą znieść ucisku psychiki oraz ideologji polskiej, ale czemuż wyprowadzają z sobą tylu Polaków, czemu przypisać walkę domową w domu polskim? I to wówczas, gdy wszędzie dokoła odradza się duch narodowy, jako jedyna rękojmia swobody? Niech się z tego wytłumaczy masonerja. Widzimy, jak starannie wypruto motyw ducha narodowego ze wszystkich konstrukcyj myśli politycznej w praktyce i publicystyce, jak go się usuwa z literatury. Nie jest to zjawisko nowe i czysto literackie; blok ten na gruncie działania politycznego istniał przed wojną pod sanacyjną komendą Bobrzyńskiego.

Ustalmy sobie przed wszystkiemi innemi „światopoglądami" pogląd na Polskę. Jest ona zdrowa w masach narodowych, ale na powierzchni pęka wśród inteligencji wzdłuż frontu polsko-żydowskiego, odkąd żywioł napływowy przez swoją elitę zorganizował koło siebie pozbawioną zmysłu narodowego część polskiej. Siłą inteligencji, kształtującą stosunki na dłuższą metę, są interesy samozachowawcze krwi. Pod jej to komendą walczą w Polsce dwa obozy. Nie wszyscy jednak jej głos zdolni są słyszeć.

Tym, którzy abstrahują świat literatury od życia realnego i głoszą, że nasza literatura jest wolna od wpływów politycznych, wskażę na symboliczny zaiste fakt deklaracji, jaką złożył teraz

Sieroszewski, prezes Akademji Literatury, w pismach żydowskich. Ogłosiliśmy ją w zeszycie poprzednim. Był moment po wojnie 1920, że socjalista Sieroszewski, ulegając tętnu swej krwi, w dramacie, na scenie wystawionym, dał wyraz swemu oburzeniu na żydów za nikczemną rolę, jaką odgrywają w dziejach narodów. Cóż się pokazało po kilkunastu latach? Akademja jest instytucją „współpracy"... Stanowisko, które w niej zajął, zmusiło go do przeproszenia żydów. Tłumaczy się więc pokornie uniesieniem chwilowem i t. d. Nie zawahał się postawić na kartę sympatji, jaką zyskał w Polsce tamtem swojem wystąpieniem; musiał zdecydować się na front. W postępku tym musimy widzieć symbol doskonałego połączenia na komendę masońską tych elementów, które walczą z obozem cywilizacji narodowej.

Albo taki przykład, jak wystąpienia jednoczesne innego akademika, Boya Żeleńskiego, na łamach żydowskiego pisma literackiego i Wassercuga, żyda i oficjalnego działacza masońskiego, domagające się (na komendę) odsunięcia duchowieństwa od szkół, jako czynnika deprawującego młodzież. Jak widzimy, literatura, zarzucająca twórczości narodowej zależność polityczną, potrafi mieszać się do polityki Nawet oficjalnie powołano się w Sejmie na zarzuty, jakie są czynione władzy, że szkoły klerykalizuje. Są to zarzuty Boy'ów i Wassercugów. A p. Skiwski właśnie, stojący u boku Boy'a, nazywa „najzupełniej fantastycznemi" pogłoski o związku świata literackiego z polityką żydowską. Dla katolika, jakim się mianuje p. Skiwski, ów bezczelny atak żydowski na prawa Kościoła katolickiego musi być tem przykrzejszy, że wycelowany był właśnie na chwilę ukazania się orędzia biskupów w celu osłabienia jego doniosłości.

Zaiste, nie są to fronty bojowe wyłącznie literackie...

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIERAZ ZDARZY SIĘ CZYTAĆ na naczelnem miejscu w gazecie różne śmieszne dogmaty polityczne. „Albowiem sejm... nie może być instytucją o nadprzyrodzonych właściwościach". Ze zdaniem tem możnaby się na upartego zgodzić. Wygłasza je i. m. (Ignacy Matuszewski), w artykule „Piętnastolecie sejmu" (na naczelnem miejscu w „Gazecie Polskiej" z 10 lutego). Styl zwyczajnie dogmatyczny. „Nie może". „Musi". „M u s i natomiast — chce, czy nie chce — być czem innem: musi (sejm) być r e p r e z e n t a c j ą i n t e r e s ó w różnych ugrupowań i uwarstwień społecznych". „I to jest zdrowe". A może niezdrowe? A może sejm nie musi reprezentować tylko partykularnych interesów? Wątpliwości te nie przychodzą na myśl dogmatykowi: „Sejm jest i być musi reprezentacją interesów różnych c z ę ś c i. Rząd — jeśli ma być dobry — musi być reprezentacją interesów c a ł o ś c i kraju". A sejm, jeśli ma być dobry, to nie? Lecz nie zamierzamy wcale wdawać się w polemikę z temi tandetnemi dogmatami. Oryginalne wydają się nam nie ze względu na treść, lecz przez to, że te dogmaty dla Polski — ogłasza Judeopolska. Zamiast korespondencji z Londynu pióra p. Florjana Sokołowa, ukazują się przestrogi polityczne dla narodu pióra p. „i. m." Obojętna, jak dalece rozsądne Sedno rzeczy w tem, że Judeopolska wypada ze swej roli, dając jakiekolwiek wskazania dla całości. Z natury rzeczy może być tylko przedstawicielką interesów części, i to nie narodu, tylko ludności państwa.

Cokolwiek ma do powiedzenia, nie mogą to być uwagi o tem, jak ma być chroniony politycznie interes całości, wogóle interes narodu. Judeopolska ma tylko swój spryt do wynajęcia. Jeśli brutalnie nawet walczy o swój interes — nie razi. Ale kiedy chce myśleć za naród, irytuje, choćby zdobywała się tylko na truizm. „Albowiem sejm... nie może być instytucją o nadprzyrodzonych właściwościach". Jak nieprzyzwoicie brzmi ten wyrok w ustach przedstawiciela Judeopolski polityczno-kulturalnej. Nawet to wyborne judeopolskie „albowiem", tak charakterystyczne w artykule dziennikarskim, nie może udobruchać! Nie jest właściwe z tej strony wygłaszanie jakichkolwiek morałów pod adresem narodu. Niestosowne w najwyższym stopniu jest prawić o „hierarchji interesów całego narodu", o „wiecznem przykazaniu rozwoju narodów", o tem, co „należy", o tem, co „nie raz i nie dwa trzeba poświęcać". Nie to jest odpowiednia dla Judeopolski rola. Może sobie tworzyć swoją literaturę, muzykę, język, politykę.. Ma już dziś swój światek odrębny. Ale nie ma żadnego mandatu do objaśniania interesów całości, na czem polegają, i co zdrowe jest, i co być musi, i czy ma być sejm, i czyje interesy rząd ma reprezentować! Te sprawy rozstrzygają Polacy, a nie judeopolscy publicyści.

I DZIŚ, JAK CZASU WSZYSTKICH WIEKÓW, esteci snują myśli o dobru i o pięknie; charakterystyczne dla doby dzisiejszej jest natomiast, że tak łatwo przychodzi im snuć te myśli polszczyzną ani dobrą ani piękną. Ale nie jest to, jak się dowiadujemy, cecha jedyna, odróżniająca estetykę współczesną. „Estetyka współczesna już oddawna w ocenie wartości artystycznej zastąpiła nazwę piękna na dobro"—pisze p. Władysław Skoczylas w artykule „Najpiękniejszy portret kobiecy" (w „Gazecie Polskiej" z 20. II.). Stanowczo „nazwę piękna na dobro zastąpić" można tylko w bardzo złej polszczyźnie. Ale oprócz tego mamy tu przecież także do czynienia z interesującym kanonem nowej estetyki. Roztrząśnijmy go trochę uważniej. Czujemy się zacofani. Czyż rzeczywiście o pięknie można dziś mówić tylko językiem dobra? „Nikt nie ogłasza dziś konkursu na najpiękniejszy pomnik, najpiękniejszy kościół, czy najpiękniejszą powieść". Być może, ale co ma wspólnego z estetyką ta dyskrecja organizatorów, liczących się z tem, że konkurs przysporzyć może sztuce więcej brzydkich świątyń, pomników i powieści? Czy piękno znikło z pośród kryterjów estetycznych dlatego, że nie mówi się o niem na konkursach? „Dobre dzieło sztuki jest równocześnie piękne". Znakomicie. Więc czemu zatajać, że jest piękne? Wejrzyjmy w sprawę głębiej. Bardzo łatwo mówić o „najlepszym obrazie" w salonie jesiennym IPS-u, o „najlepszym" drzeworycie na wystawie drzeworytów współczesnych. I brzmi to całkiem sensownie. Ale głupio byłoby wyrwać się ze zdaniem o „najlepszej" katedrze średniowiecznej w Anglji, albo wyrokować, że ten właśnie z drzeworytów Dürera jest „najlepszy". Śmiesznie byłoby pleść o „najlepszej" operze Wagnera, o „najlepszym" utworze Chopina. Natomiast wcale nie śmiesznie jest wyrazić pogląd, że katedrę

w Lincoln uważa się za najpiękniejszą, że najpiękniejszem dziełem Wagnera jest „Walkirja“, najpiękniejszym utworem Chopina — przypuśćmy — mazurek op. 41 № 1. Czemuż tu kryterjum „dobra“ stało się nagle niezastosowalne? Bo pojęcie o „dobrem“ dziele jest w języku krytyki potocznej pojęciem szkolnem, oceną dzieła podług pewnej praktycznej reguły objektywnej. Może go bezpiecznie i dorzecznie używać krytyk w odniesieniu do wytworów jakiejś współczesnej szkoły artystycznej w malarstwie, muzyce, literaturze, wśród których żaden nie budzi szczególnego zachwytu. Przy wprawie, nawet bez większej wrażliwości estetycznej, można dość trafnie w ten sposób kwalifikować dzieła „najlepsze”. Ale wobec pewnych dzieł sztuki najśmieszniej byłoby zachowa: się tak, jakby nie budziły żadnych wzruszeń estetycznych, i wytrwać w postawie profesora, a nie odbiorcy wzruszeń. Dlatego mniej śmieszne jest twierdzić, że wspomniany mazurek jest utworem Chopina najpiękniejszym, niż ogłaszać, że polonez *as-dur* jest jego dziełem najlepszem. W tych wypadkach przejść trzeba przedewszystkiem na język piękna, t.j. zwierzeń osobistych. Zapewne, piękno i dobro łączą się gdzieś tajemniczo na wyżynie metafizycznej. Ale w języku estetyki potocznej (nawet współczesnej) nie są, jak widzimy, zastępowalne. W języku tym cechę dobra mają tylko dzieła ręki ludzkiej i to mniej cenne. Pan Bóg widział wprawdzie, że świat jest dobry, ale my dziś zupełnie nie wiemy, który kwiat jest najlepszy. Nic nie pomogłoby rozpisanie konkursu na ten temat. A gdyby terminologja „dobra” istotnie zastąpiła terminologję „piękna”, zastosowalna byłaby do wszystkiego, co piękne, nietylko do wartości po ludzku „artystycznych”. Skoro niema najlepszych kwiatów i kolorów, ani najlepszych mgieł ani zachodów słońca, ani nawet najlepszych arcydzieł muzyki ani malarstwa, cóż w takim razie zostaje dla terminologji „dobra”? Istotnie, bardzo niewiele, oprócz utworów wyróżnionych na konkursach, dzieł laureatów i prac uwieńczonych przez akademje lub Państwo. Ale i w tym szczupłym zakresie mniejby miał do powiedzenia język „dobra”, gdyby krytycy mieli większą odwagę osobistą i nie wstydzili się zwierzeń o brzydocie i pięknie. O umiejętności artystów sądzić można fachowo, ale każdy szczery sąd o pięknie musi być do pewnego stopnia głosem naiwności, instynktownym odruchem wewnętrznym. Ładnieby wyglądały krytyki, gdyby recenzenci nie zagłuszali w sobie głosów naiwności. Czytalibyśmy rzeczy naprawdę niespodziewane. Zamiast tego mamy zbiór stereotypowych sądów o dziełach „najlepszych” — i mniemanie, że „estetyka współczesna już oddawna”...

WŚRÓD ZAGADNIEŃ NAUKOZNAWCZYCH

ZAGADNIENIA organizacji życia naukowego zasięgiem coraz szerszym rozwijają się w dyskusjach ogólnych. Jest rzeczą wcale ważną, że sprawy te, zagajone na łamach pism specjalnych, porzucają z kolei grunt wyłączny, audytorjum najbardziej zainteresowane, fachowe. Mówi to dużo o wadze i doniosłości rzeczy samej, mówi także o jej atrakcyjnej nowiźnie.

Niepodległość, przywrócona państwu, prowadzi naukę w zmienionych zasadniczo warunkach, tworząc własne formy organizacyjne i metodyczne, nowemi zgoła — bez retoryki — szlakami. Ocena tego rozwoju, a także zadań społecznych, które go powinny uzasadnić, oprzeć się musi na podstawie historycznej: na wiedzy o kulturze naukowej polskiej przeszłości. Wiedza owa, dotychczas fragmentaryczna, wzbogaciła się niedawno ważną pozycją. Prof. Fr. Bujak ocenił w krótkim zarysie „Rozwój nauki polskiej w latach 1800 do 1880“ („Nauka Polska“, XV, 1932). Analiza ta, celująca skrupulatnością badawczą, daje przegląd naszej nowoczesnej myśli naukowej. Jej form, zrazu najbardziej prymitywnych, wręcz zbierackich, pogłębiających się w miarę postępu czasów, zgodnie z ich rytmem politycznym. A także jej dokonań: wiedza XIX wieku służyła zrazu narodowi w doli rozbiorowej, była społecznie przydatna narówni z literaturą i sztuką; życie, komplikujące się wskutek wielu momentów ogólnych, i naukę polską czyniło coraz bardziej nowoczesną, w ramach narzuconych warunków.

Aż w rozwój krępowany i siłą rzeczy ubogi — wtargnęła swoboda własnego państwa. Dobre jest, idąc za wzrokiem prof. Bujaka, umieścić zjawisko w prespektywie historycznej, aby dojrzeć w pełni osiągnięcia dzisiejsze. Oto zmiana czasów! Prof. J. Rutkowski uzasadnia właśnie pogląd („Nauka Polska“, XIV), że „rozwój organizacyj naukowych niezawsze pociąga za sobą dodatnie skutki dla postępu nauki”. Myśl badawcza, zaznaczająca swą żywotność (wśród nauk historycznych) przerostem form organizacyjnych, nosi w sobie poważne niebezpieczeństwo: „doszliśmy... do punktu, w którym warto się zacząć zastanawiać, czy nie należałoby może... ograniczać pewne zbyt wybujałe formy organizacyjne“; postęp bowiem w dziedzinie organizacji nauki niezawsze jest jednoznaczny z postępem — nauki. Analiza poszczególnych przejawów organizacyjnych pracy badawczej, sprzyjająca rozwojowi mikrografji naukowej, oparta na obserwacjach autora zarówno polskich jak obcych, wyzwala dyskusję znacznej doniosłości praktycznej.

Dyskusję tę podjął p. Adam Stebelski, ogłosiwszy kilka uwag „W sprawie organizacji życia naukowego“ („Droga“, 1932, Nr. 6), zauważając, że o przeroście form organizacyjnych nauki współczesnej mówić należy „ze znaczną ostrożnością, aby nie ulec nadmiernemu racjonalizowaniu rzeczywistości. Należy też pamiętać, że jeśli istnieje u nas pewien przerost... jest to następstwem konieczności dostosowania naszego życia naukowego do nowych potrzeb. Temu przypisać należy, iż rzeczywiście nie było można w wielu razach przywiązywać większej wagi do poziomu pracy naukowej“. Spostrzeżenia autora, przynoszące nieco uzupełnień, ale także sprostowań na marginesie artykułu Rutkowskiego, sprowadzają dyskusję na grunt odmienny: „Nie w rozroście życia organizacyjnego nauki szukać należy przyczyny niskiego poziomu szeregu prac naukowych, ale w indywidualnych właściwościach autorów“. Przesunięcie sprawy z terenu schematów organizacyjnych w zróżniczkowaną dziedzinę osobowości naukowej wydaje się twórcze i wiele istotnie wyjaśnia.

Tu wrócić wypadnie do myśli, zerwanej cytatami. Tradycji naukowej dziewiętnastowiecza nie podobna naturalnie rozwijać w warunkach dokładnie zmienionych. Zachłyśnięcie się rozmaitością

wszelakich form organizacyjnych dzisiaj, jest jak sygnał ostrzegawczy na przyszłość. Oto problem: twórcza osobowość badacza w ramach twórczej organizacji.

Nad sprawą owej organizacji zaledwie podjęto dyskusję, daleką od wniosków ostatecznych. Zaledwie poddano rozwadze ten i ów szczegół programu. Tu bodaj należy się słowo niedawnej wymianie zdań na temat czasopiśmiennictwa naukowego w Polsce. Funkcje społeczne, jakie prasa ta spełnia, domagają się radykalnych przesunięć w dziedzinie ogólnej polityki naukowo-wydawniczej. Typ czasopisma naukowego, który znamy dobrze z lektury specjalnej, ukształtowany według wzorów wczorajszych, odbiega wcale wyraźnie od potrzeb i nastawień współczesności. Dział naukowy bierze tu górę nad informacyjno-krytycznym. Pismo gromadzi materjały i ogłasza rozprawy nieraz znakomite, ale nie jest organem żywym, aktualnym, popularyzatorskim, i nie posiada bezpośredniego kontaktu z szybkim rozwojem nauki w wielości coraz to nowych jej przejawów. Czasopismo dzisiejsze przypomina ciągle prasę naukową XIX w., o swoistym wyrazie, dotrzymującą kroku tamtemu życiu. Ten to historyczny typ perjodyku, naogół w dziedzinach innych sklasyfikowany, ocenia dr. R. Danysz-Fleszarowa w gruntownej pracy: „Polskie czasopisma geograficzne oraz geografja w polskiem czasopiśmiennictwie" („Czasopismo Geograficzne", 1932, zesz. 1-2). I znowu ciekawa korelacja historji ze współczesnością. Dr. M. Tyrowicz w artykule „Z zagadnień organizacji czasopiśmiennictwa naukowego w Polsce" („Droga", 1932,4) ustala nowy typ naukowej prasy, żądając równych praw w piśmie dla działów aktualnych i informacyjnych, obok rozpraw i artykułów problemowych.

Trudno tu rozważać szczegóły wywodów autora, którego artykuł służyć będzie jako metodyczny punkt wyjścia do wszelkiej dyskusji nad reformą czasopiśmiennictwa naukowego. Publikacja Tyrowicza dała powód Cz. Gutremu do uwag krytycznych na łamach „Nauki Polskiej", XVI. Recenzent w rozróżnieniu dwóch działów czasopisma poszedł jeszcze dalej, żądając wyłączenia z perjodyków niezależnych prac naukowych.

Dyskusja, która toczy się dokoła reformy czasopiśmiennictwa, zajmuje zaledwie odcinek zagadnień organizacji nauki; odcinek przecież ważny i bodaj w centrum, nie na skrzydłach frontu.

E. P.

NAUKA I LITERATURA

ZE WSPOMNIEŃ O SIENKIEWICZU

GARŚĆ wspomnień o ludziach ze swego najbliższego otoczenia z przed kilkudziesięciu lat zebrał i wydał w pięknej książeczce ordynat Edward Krasiński („O Radziejowicach i ich gościach niektórych", Warszawa 1934 r. str. 55). O tych „gościach niektórych", co przyjeżdżali z Warszawy na wywczasy do pobliskich Radziejowic, mówi autor z tak ciepłem uczuciem, z jakiem się mówi o ludziach, co byli dla nas źródłem miłych wrażeń i pozostawili po sobie świetlane wspomnienie. Charakteryzuje autor tych wszystkich „gości", wśród których było sporo ludzi znanych i zasłużonych (głównie uczonych, literatów, artystów, dziennikarzy z Warszawy, jak np. W. Gomulicki, Weyssenhoff, K. Gorski, Chełmoński, Rembowski, A. Dobimirski i t. p.), naogół trafnie, zaznaczając jednakże te cechy ich natury oraz działalności, które z dobrej strony ich przedstawiały, pomijając natomiast te, co mogłyby budzić niejakie wątpliwości.

Główną wszakże uwagę czytelnika skupia autor na wyjątkowym „gościu", bo na Sienkiewiczu, który z rodziną radziejowickich Krasińskich pozostawał przez długie lata w serdecznej zażyłości. Te wspomnienia osobiste ordynata Krasińskiego o Sienkiewiczu niewiele dorzucają istotnego do tego, co o nim wiemy jako o człowieku i pisarzu, — niemniej jednak złożone tu zostało wymowne świadectwo temu, czem był twórca „Trylogji" i „Krzyżaków" dla ludzi, co odczuwali należycie urok jego talentu.

„Sienkiewicz"— powiada autor—„był darem Bożym dla mojego pokolenia. Pomógł on nam do życia... Dawał nam odwagę rozpoznawania się w sobie samych, często zniechęconych lub przybitych, przez wykrzesywanie w nas tlejących skier energji, przedsiębiorczości, fantazji. Doznawaliśmy uczucia jakiegoś bezpieczeństwa w jego optymizmie i opieki w jego moralnej obecności, otaczających nas jakby tarczą swego natchnienia, tak zgodnego z istotą duchową narodu. Podniósł Sienkiewicz o olbrzymi ton ówczesne życie polskie, nastroił poczucie plemienne na jednolite poświęcenie dla kraju i — jak dzwon Zygmunta, ów najlepszy Kaznodzieja — wydzwaniał nam ciągle przypomnienia. Zaczęły grać w duszach rycerskie jego rapsody, stanęła przed nami zjawa przeszłości, jego językiem i intuicją wskrzeszona, równa rzeczywistości, przejmująca tradycją wszystkie warstwy,—rzekłbyś: pobudka!.. Powiedzieć można śmiało, że z chwilą ukazania się „Ogniem i Mieczem" przestały moralnie istnieć podziały — tak mocno stopiła ta epopea rozdarte części w jeden szlachetny kruszec zjednoczonego myślenia..."

Jakże o tem zapominają dzisiejsi budziciele energji narodowej!

Do tych „wspomnień" dołączył autor kilkanaście wyjątków z listów Sienkiewicza, pisanych do jego rodziców, Józefa i Heleny Krasińskich. W wyjątkach tych trochę szczegółów, rzucających światło na niektóre zagadnienia twórczości Sienkiewicza.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Miła niespodzianka spotka czytelnika, gdy weźmie do rąk książkę Stanisława Piołun-Noyszewskiego, który napisał zbiór opowieści świętokrzyskich p. t. „Trzy panny z Kurzelowa" (Warszawa, str. 311, r. 1934).

Przedewszystkiem już po przeczytaniu pierwszych stron kilkunastu spostrzegamy, że pisał książkę rasowy Polak, który zna i kocha swój język, a przytem mową rodzinną włada doskonale. Styl tych opowieści Piołuna-Noyszewskiego jest precyzyjnie cyzelowany z poczuciem ważności każdego wyrazu, a jednak tok opowiadania jest swobodny, co świadczy o doskonałem opanowaniu formy. Jest to zjawisko niecodzienne wogóle, podkreślić je należy tembardziej, że autor „Trzech panien z Kurzelowa" wystąpił po raz pierwszy z książką beletrystyczną. Debiut udał się znakomicie. Opowieści Noyszewskiego, pisane czystą, klarowną, dostałą polszczyzną, mają jeszcze drugą nieprzeciętną zaletę: tętnią życiem. Z poza kart książki wyglądają ku nam żywe twarze stworzonych przez autora postaci. Te dwie cechy dają najlepsze świadectwo temu, że zjawił się szczery, rzetelny talent pisarski.

Książka zawiera pięć opowieści. Wszystkie rozgrywają się na terenie „Swiętokrzyskiego", w Kieleckiem. Wszystkie owiane są jedną atmosferą, która łączy je we wspólną całość; a jednak każda z nich jest przecie inna i w pomyśle i w transpozycji. Wspólność biorą z ziemi i powietrza, któremu oddychał autor, bo Swiętokrzyskie—to jego kraj rodzinny. Gdy Polak czyta „Trzy panny z Kurzelowa", czuje, że oddycha atmosferą swojskości, że jest — u siebie. Miarą zaś talentu Noyszewskiego jest, że czytając jego zajmujące, frapujące opowieści, które utrzymują do końca w naprężeniu naszą uwagę, przekonywamy się, że nie trzeba ani egzotyzmu, ani perwersji erotycznej czy kryminalistyki, aby zająć czytelnika. Trzeba poprostu — talentu. A wtedy, czytając choćby np. „Złe oczy" Piołuna-Noyszewskiego, które to opowiadanie zamyka cykl opowieści świętokrzyskich, będziemy się emocjonować podobnie, jak przy lekturze utworów Viliers de L'Isle Adama czy Hoffmana. (W. W.)

*

Niedawno witaliśmy z radością tomik poezyj Marjana Turwida, dojrzałych formą artystyczną a ujmujących szczerym, gorącym sentymentem dla rodzinnego miasta Wrześni. Podobne wrażenia, choć może nie tak silne, odnosimy z tomiku utworów p. Henryka Ptaka, zatytułowanych „Kraków, moje miasto" (Gebethner i Wolff). Poeta to szczery, bezpretensjonalny; nie reklamuje się, nie narzuca się nikomu — ot, tworzy poprostu za głosem serca własnego. Ponieważ *nomen* nierzadko bywa *omen*, więc do p. Ptaka wolno zastosować słowa: *„Ich singe wie ein Vogel singt, das in den Zweigen wohnet"* — zwłaszcza, że przecie śpiewa on o gnieździe swem rodzinnem. Nie należy mniemać, że kultywuje wyłącznie starą tradycję F. Wężyka, który wierszami opisywał urok zabytków Krakowa i piękno jego okolic. Opisowa strona wprawdzie, co rzecz zrozumiała, zajmuje wiele miejsca w poszczególnych utworach, zwłaszcza początkowych; tu trafiają się czasem relacje nieco katalogowe (przy jednoczesnej sztuczności metafor) — mam na myśli przedewszystkiem wiersz o „Wieży ratuszowej". Natomiast udają się poecie te utwory, gdzie opis ujęty jest w formę ruchu, taki np. „Bunt ulic" (w którym jest ponadto wyborny nerw satyryczny). W nich się właśnie widzi życie starych murów, słyszy się głos i czuje się drganie przeszłości—tej, która, jak owa dzieweczka ewangeliczna, „nie umarła lecz śpi". Prócz przeszłości ukochał jednak p. Ptak i teraźniejszość, dzisiejsze miasto Kraków, oczywiście w tem, co kryje ono pięknego: zachwyca go kolorowość kramów w Sukiennicach i kolorowość jesiennego obrazu plant, dogłębnie wzrusza nabożna pieśń ludu, śpiewana w kościołach; oszczędził czytelnikowi przykrości, nie wspominając ani o horrendalnych brudach żydowskiej dzielnicy, ani o coraz to cięższych stratach, jakie w mieście Jagiellonów ponosi dziś polska myśl i polska kultura. Młodym człowiekiem jest jeszcze p. Ptak i jest optymistą. Zapał, jaki przepełnia całą jego książkę, udziela się czytelnikowi i pozwala zamknąć oczy na pewne drobne usterki wiersza czy stylu — nawet na ów zdarzający się niekiedy natłok metafor, który zresztą nie jest czczą deklamacją, lecz płynie z chęci jak najpełniejszego wypowiedzenia uczuć. *Ex abundantia cordis os loquitur.* (J. B.)

*

Do najpiękniejszych książek dla młodzieży, jakie ukazały się ostatniemi czasy, należy powieść J. Konarskiego „Tajemnica zegara królewskiego" (wyd. Książnica-Atlas). Napisana śliczną polszczyzną, językiem prostym, a jednakże wysoce artystycznym, ma ponadto fabułę niezwykle zaciekawiającą. Tłem jej jest doba trzeciego rozbioru, najbardziej dramatyczna sama w sobie, a przytem obfitująca w dzieje różnych tajnych spisków, które przygotować miały powstanie Kościuszkowskie. W akcji tej bierze udział słynny zegarmistrz warszawski, Gugenmus, który już w powieściach Przyborowskiego i obrazkach Or-Ota tak pięknej doczekał się sławy (ostatnio pamięć jego przypomniał w swych artykułach Nowaczyński). On to jest twórcą kunsztownego zegara, który jako pamiątka po królu Stasiu przechowywany jest długo w domu pewnej patrjotycznej rodziny polskiej. Z zegarem tym wiąże się jakaś tajemnica, która stała się niedocieczoną wskutek zaginięcia skryptu z jej objaśnieniem. Skrypt ten, uszkodzony, przechodzi różne koleje, aż dostaje się w ręce małego Joachimka Lelewela, już wówczas obdarzonego pasją odczytywania zagadkowych rękopisów. Gdy wskutek przeciwności losu oraz działalności patrjotycznej wspomniana rodzina w drugiem pokoleniu staje nad przepaścią nędzy i zmuszona jest wyprzedać wszystkie meble i pamiątki rodzinne, jako ostatni sprzęt zostaje jej jeszcze ów zegar — a w nim drogocenne pierścionki, darowane przez króla Stasia, które teraz dzięki odnalezieniu skryptu udało się wydobyć z nieznanego schowku w tajemniczym zegarze.

Poetyczne ujęcie szczegółów (zwłaszcza piękny prolog) dodaje tej powieści wielkiego uroku. Jest to naprawdę udana powieść historyczna — a tych mało miewamy obecnie. Gdy chodzi o powieść historyczną dla młodzieży, na podobnym poziomie należałoby postawić jedynie kilka, m. in. „Helusię z Rakowickiego młyna" p. Czeskiej - Mączyńskiej (księg. św. Wojciecha) — intrygujące i żywe opowiadanie o mało znanej epoce tragicznego powstania krakowskiego w r. 1846. (J. B.)

*

Dwie nowe książki Józefa Jankowskiego: „Dwuwiersze" i „Sonety wstępujące" (księgarnia F. Hoesick w Warszawie) przejawiają wysoką, w nieskończoność sięgającą skalę intelektualnych zainteresowań autora. Badacz i entuzjasta filozofji Hoene-Wrońskiego, miłośnik filozofji indyjskiej i nauk tajemnych, poeta liryk i autor dramatyczny, w swych „Dwuwierszach" i „Sonetach", bliski jest „Meandrom" Faleńskiego, uwydatniając przytem własny, oryginalny światopogląd. Wszystkie poprzednie utwory J. Jankowskiego, m. in. najwybitniejsza: „Rzecz o Samuelu Zborowskim" i „Magja piękności", zostały w handlu księgarskim wyczerpane. Dziś „Dwuwiersze" i „Sonety wstępujące" ciekawie przypominają pracę tego poety. (A. W.)

*

Przyjemnie jest stwierdzić, że Śląsk budzi coraz większe zainteresowanie naszych artystów. Ostatnie miesiące były bardzo bogate w rozmaite utwory i prace związane z Śląskiem. Niezwykłą serdecznością i ciepłem ujęcia odznaczają się impresje regjonalne Jana Sztaudyngera p. t. „U źródeł Polski". Dobrze już Wielkopolsce znany, i dobrze w sercu Poznaniaków zapisany poeta „Ballad Poznańskich" (i dlatego też zapewne pominięty w Literaturze p. Pomirowskiego) opowiada o swem pierwszem zetknięciu się z Beskidem, z pełnym prostoty ludem podbeskidzkim, o swych wycieczkach z Gustawem Morcinkiem. Po raz pierwszy prezentuje się nam autor „Wyrąbanego chodnika" jako zwykły, ale typowy syn swej ziemi, cieszyńskiej. Sztaudynger uchwycił Morcinka „w cywilu" doskonale, bardzo żywo i bardzo prawdziwie, potwierdził wrażenie każdego, kto Morcinka poznał osobiście, mianowicie, że tak naturalnym, prostym i bezpośrednim jak Morcinek jest w swych powieściach, takim jest i w życiu codziennem. Wśród innych uwag Sztaudyngera w związku z jego pobytem na Śląsku Cieszyńskim na podkreślenie zasługują najzupełniej słuszne żale, skierowane do pseudo-inteligentów, którzy starają się zatrzeć odrębność regjonalną Śląska Cieszyńskiego i gwałtem wprowadzać „kulturę", bez której się Śląsk zielony cudownie obędzie. Książeczka Sztaudyngera jest pięknym hołdem złożonym pięknej krainie podbeskidzkiej.

(A. J.)

MUZYKA

PAŃSTWOWA nagroda muzyczna za rok 1934 została przyznana, dnia 24 lutego, Piotrowi Maszyńskiemu za całokształt działalności muzycznej, a w szczególności za zasługi położone na polu pieśniarstwa. W skład sądu wchodzili pp.: Witold Maliszewski i Karol Stromenger jako przedstawiciele Min. W. R. i O. P., Edmund Heintze, Lucjan Butkiewicz oraz Tadeusz Czerniawski. Rozpatrywano kandydatury: Aleksandra Michałowskiego, Stanisława Niewiadomskiego i Adama Wieniawskiego.

P. S. W poprzednim numerze wkradł się błąd, a mianowicie nazwisko Kreneka zamieniono na Krencka. Pragniemy wyjaśnić, że nie było w tem żadnej złośliwej aluzji, tyczącej się twórcy „Johnny". (W. N.)

FILM

PALACE: „Życie jest piękne", reż. Paweł Fejos.

Uroczy film. Mógł być właściwie utworem posępnym, bo przedstawia losy dwojga młodych istot, niedoszłych samobójców, w ciągłem poszukiwaniu zarobku. Życie źle się z niemi obeszło, oboje samotni, bez pracy — dajcie taki temat estetyzującemu komuniście, a zobaczycie, jaki wygotuje z niego akt oskarżenia przeciwko „kapitalistyczo-burżuazyjnemu ustrojowi"!..

My widzimy tu jednak świat oczyma młodych (chłopaka i dziewczyny); im niewiele potrzeba, są beztroscy, stosują, sami może nie wiedząc o tem, zasadę poprzestawania na małem i znajdują szczęście tuż obok. Ba, ale to młodość i zdrowie, a do tego miłość pełna uśmiechów, bez ckliwości i erotyzmu. W obrębie tej atmosfery niema miejsca na rzeczy złe iniskie, więc to jakby fałszywe widzenie rzeczywistości—bo naprawdę w życiu różnie bywa — lecz skłonni jesteśmy na chwilę uledz tej dobroczynnej wadzie wzroku. Tembardziej, że to nie głupi optymizm filmów, w których szwaczka wychodzi zamąż za księcia, co w prawdziwych szwaczkach (z widowni) budzi często fałszywe apetyty.

Jeśli chodzi o stronę formalną filmu, ten pogodny i miły obraz przygód młodej pary wykazuje również wiele pierwszorzędnych zalet. Dobre użycie aktora pozwala rozumieć sens niemal bez uciekania się do djalogu, akcja rozgrywa się na coraz to innem tle (co już z samej treści wynika), wogóle ekran jest nadzwyczaj ruchliwy. Odpowiednio zbudowany scenarjusz daje aktorowi właściwe pole do działania, niema nadużywania gry. Co do strony dźwiękowej, hałas ulicy, luna-parku i t. p. stanowi tło słuchowe, reżyser b. chętnie korzysta z takich okazyj, byle tylko aktor nie potrzebował mówić (zapełnienie ciszy ekranu jest konieczne). Zwykle w filmach obecnych dzieje się odwrotnie: wszystko milknie, by aktor mógł się wygadać.

Jest tu wiele scenek b. zabawnych i pomysłowych, np. podróż imaginacyjna: gdy młodym wiodło się już lepiej, zaszli kiedyś do biura podróży; przed każdym z plakatów, reklamujących rozmaite okolice świata, zachowują się tak, jakby naprawdę byli w miejscowości przedstawionej na obrazku.

Tylko zakończenie nie wytrzymane w rytmie i barwie całości.

W głównej roli Anabella. Wersja francuska.

ADRIA: „Tunel" wedł. powieści Kellermanna.

W dodatku literacko-artystycznym „A. B. C." czytałem niedawno ciekawy artykuł, którego autor, pisząc o filmach sowieckich, uczynił b. trafne spostrzeżenie. Wiadomo, iż tematem prawie wszystkich utworów filmowych sowieckich jest apoteoza pracy. Pracy niemal wyłącznie fizycznej. Roztaczając przed widzem jej zdrową i rzeźką atmosferę, reżyser sowiecki pokazuje nam tylko pracującego robociarza, usuwając w cień tego, który robotnikowi dał teren do pracy i jej rodzaj określił. Treścią trudu robotnika jest np. budowa Dnieprostroju, autorem planów takiej imprezy był przecież inżynier-inteligent, on również budową kieruje, bez niego praca robotnika nie miałaby sensu, dlaczego więc postać takiego inżyniera, również pracownika, tylko umysłowego, spycha się w filmach sowieckich na ostatni plan, traktuje jako sylwetkę groteskową, ulubiony motyw satyry?

Takie są b. słuszne wywody wspomnianego artykułu. Błędu podobnego nie popełnił reżyser „Tunelu", choć jego utwór powstał niewątpliwie w promieniu oddziaływań kinematografji sowieckiej. Tu bohaterem, główną postacią, jest inżynier, kierujący budową tunelu, on jest motorem wszelkich poczynań, jedyne ustępstwo — że pochodzi z ludu.

Inny ton uczuciowy nadano też samej pracy. Tam (w Sowietach) rodzi ona rzeźkość i hart (*„bodrost"*), tu wpleciono motyw tragiczny. Praca to walka — mówi inżynier — zmaganie się z żywiołem. Stąd i ofiary, gdy, chwilowo, żywioł zwycięża.

Natomiast operowanie grą zespołową, unikanie dłuższych scenek z ciągle tą samą osobą, rodzaj gry wreszcie oraz rysowanie treści charkterystycznemi fragmentami, spokrewniają ten film znowu z utworami filmji sowieckiej.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. JÓZEF FABIANI

DNIA 19 b. m. zmarł w Piotrkowie Tryb. ś. p. Józef Fabiani, b. dyrektor Gimn. im. Bol. Chrobrego, przeżywszy 90 lat.

Studjował polonistykę i języki starożytne w Szkole Głównej w Warszawie. Kochał Naród całem sercem i tę miłość umiał przelać do serc swoich wychowanków. Natura nawskroś szlachetna, obdarzona wielką prostotą, stał się dla wielu wzorem, jak żyć należy. Za swoje zasługi na polu wychowania dekorowany został orderem *Polonia Restituta*, odznaczony godnością Czł. Hon. T. N. S. W. i krzyżem *Pro Ecclesia et Pontifice*. Należał do tych przedstawicieli starszego pokolenia, którzy do końca życia zachowują młodość ducha. Cierpiał pod koniec swego życia ogromnie, gdy widział nieposzanowanie prawa i nikczemne paczenie młodych charakterów. Wierzył jednak głęboko, że dobro zwycięży i młode pokolenia poprowadzą Naród do lepszej przyszłości. Pozostawił niezatarte po sobie wspomnienie i głęboki żal.

H. R.

NOWE KSIĄŻKI

Kasprowiczowa Marja. Harenda. Dziennika cz. V. Warsz. 1934. Dom Książki polskiej. Str. 168 z ilustr.

Ostrowska Bronisława. Pierścień życia. Tartak słoneczny. Wiersze ostatnie. (Pism poetyckich t. IV). Warsz. 1933. Wyd. Mortkowicza.

Kościelski Władysław. Tercyny. Warsz. (1934) Bibljoteka Polska.

Norwid Cyprjan. Inedita: Pierścień wielkiej damy. Inedita: Rozprawki epistolarne. Wydał z autografu Zenon Przesmycki (Miriam). Warsz. 1933. Z funduszu L. Wellisza.

Łakomy Ludwik. Piśmiennictwo śląskie, przed założeniem Akademji Krakowskiej. Katowice 1934. Księg. Katolicka. Str. 202.

Bandrowski Jerzy. Na polskiej fali. Powieść dla młodzieży z rycinami. Warsz. 1934. Dom Książki pol.

Mianowski Henryk. Znaczenie gospodarcze ruchu turystyczno-uzdrowiskowego w Polsce. Z przedmową woj. M. Kwaśniewskiego. Kraków 1934. Izba przem. i handl. S. 82 i tabl.

W ROZMÓWNICY

W nr. 7 „Pionu" przeczytałem dopiero teraz artykuł p. Heleny z Romerów Ochenkowskiej p. t. „Mieczysław Karłowicz. Kraj lat dziecinnych". Pisze te wspomnienia o ciotecznym bracie w celu uczczenia pamięci znakomitego kompozytora w 25-tą rocznicę jego śmierci tragicznej. Ale zaiste osobliwy znalazła sposób uczczenia, bo postać Mieczysława, jako dziecka i człowieka, wypadła ujemnie, a ojca — Jana Karłowicza — wprost napiętnowana. Siostrzenica w dłuższym ustępie, uwydatniając z naciskiem piętno, wykłada czytelnikom, że Jan Karłowicz splamił swoje nazwisko, jako Polak, sprzedając majątek ziemski „moskalom".

W r. ub. minęło 30 lat od śmierci znakomitego uczonego, tyle zasłużonego dla nauki polskiej. Cześć powszechną, która dotąd otacza jego nazwisko, spotyka cios publiczny z ręki siostrzenicy w 30 lat po śmierci, kiedy już nie żyje nikt z najbliższej rodziny, ktoby mógł stanąć w jego obronie. Coby o tem powiedział kochający ojca Mieczysław, którego siostra uczciła w ten sposób? A przecież mógłby i powinienby żyć jeszcze.

Nie mogę być sędzią w sprawie owej sprzedaży majątku, ale obowiązek lojalności wobec Jana Karłowicza, w którego uczciwość wierzyłem, nakazuje mi wystąpić w roli świadka i przytoczyć, jak sam ś. p. Karłowicz tę rzecz przedstawiał.

P. Ochenkowska napewno wie o tem, że w r. 1902 ktoś w Warszawie, powołując się na informacje, dostarczone przez kogoś z Litwy — informacje, dotyczące stosunków rodzinnych — wystosował do ś. p. Karłowicza list anonimowy, szantażujący go właśnie tą sprawą. Ja byłem wtedy we Lwowie na stanowisku redaktora „Słowa Polskiego". Karłowicz, przewidując na podstawie pogróżek możliwość jakiejś akcji prasowej, a nie mogąc bronić się w prasie warszawskiej (ze względu na cenzurę rosyjską), powiadomił mnie o tem. Mam przed sobą jego list, datowany w Warszawie 16 grudnia 1902 Pisze w nim:

„Przed godziną pocztą miejską otrzymałem obszerny, maszyną drukowany paszkwil, obrzucający błotem mnie... (pomijam inne imiona rodziny). Nazwany jestem sprzedawczykiem ziemi na „drogiej Litwie". Szan. paszkwilant wymaga, abym w ciągu dni ośmiu oświadczył w dziennikach, że ustępuję z prezesostwa Kasy Literackiej, a w przeciwnym razie grozi rozesłaniem kilkuset egzemplarzy paszkwilu do wszystkich trzech zaborów. Nie powtarzam plugastw, starannie tam nagromadzonych...

Donoszę Ci o tem dlatego, abyś, w razie nadejścia paszkwilu do Lwowa, jeżeli znajdziesz tego potrzebę, zechciał kilka słów napisać na moją obronę"...

Potrzeby tej nie było, paszkwilant bowiem uląkł się wtedy swego planu, ale obowiązek, nałożony na mnie w tym liście, pozostał i spełniam go teraz, obowiązek jakby testamentowy.

Do listu ś. p. Karłowicz dołączył notatkę informacyjną:

„Dwie wsie moje w powiecie Lidzkim (gub. Wileńska) sprzedałem 1881, podzielone na trzy części: Rudolfowi Krahelskiemu, Józefowi Mongialle i Bronisławowi Joczowi, polakom i katolikom; dwaj ostatni żyją jeszcze".

Oto głos z grobu. Niechaj siostrzenica z nim polemizuje, jeśli uważa to za stosowne. Mnie wydaje się taki porachunek na grobie człowieka bliskiego czemś niewiarogodnem, zwłaszcza na Litwie, gdzie tak głęboki jest kult zmarłych. Gdyby te tradycje łamać, gdyby zaczęto po kolei duchy ojców w grobie spowiadać (a każdy starszy człowiek ma w grobie ojca), coby na to p. Ochenkowska powiedziała, choćby jako publicystka; czy mogłaby wobec tego, co zrobiła, zaprotestować?

ZYGMUNT WASILEWSKI

Do numeru niniejszego „Myśli Narodowej" dołącza się, dla ułatwienia wpłacenia prenumeraty, czek na P. K. O. Nr 3105.

OFENSYWA

U NAS KIEDY?

PIĘTNAŚCIE lat musiał czekać cierpliwie Leon Daudet nim dożył tego dnia, w którym wreszcie nakładano kajdanki archiłotrowi prasowemu Dubarry z *„Volonté“* i odwożono do więzienia.

Nie było jednego numeru *„L'Action“*, w którymby na pierwszej i na przedostatniej stronie nie nazywano łotrów łotrami, złodziei złodziejami, eskroków eskrokami, a Dubarrego faworytem całej *juiverie* paryskiej, wszystkich eskroków, szpiegów, oszustów i włamywaczy politycznych. „Kiedyż zamknięcie tego złodzieja portfelów?“—zapytywał codzień wówczas rządzącą mafję masonów, briandytów pospolitych i salonowych (*salonnard*). A Dubarry triumfował i żył spokojnie nadal, jak żyło spokojnie niestety kilkuset paryskich żurnalistów, których kupował kto chciał, kiedy chciał, za co chciał, z wewnątrz i z z e w n ą t r z.

W lutym b. r. przyszła kolej na czyszczenie Paryża. Leon Daudet zapowiadał to już oddawna. Tylu i takich kupnych kokot prasowych nie miała i nie ma żadna ze stolic europejskich. Biczem Bożym na rojowiska tych szantażystów był Leon Daudet i jego grupa. Wszyscy inni z nimi paktowali i tolerowali. Półurzędowy *„Temps“* przemilczał i nie widział. Wszystkie żydłaki prasowe, z prawej i z lewej od Jeroboama Mandla do szmatławców z *„Humanité“*, z *„Vu“*, z *„Marianne“*, z *„Ere Nouvelle“* i z bulwarowych rotacyjnych zamtuzów ani Dubarrym, ani tego typu łapserdakami moralnymi się nie zajmowały. Czasem gdzieś, ktoś coś przelotnie się oburzył i splunął na tolerowanie spelunek Dubarrych, ale w gruncie rzeczy *laisser faire, laisser passer.* Aż wreszcie i przyszedł skandal z tym ukraińskim żydkiem (ze Słobodki), jednym z licznych, którzy po kolacjach i po homarach pakowali łajdakowi prasowemu Dubarremu czeki nie tyle do pończochy ile w zęby. I Dubarremu wreszcie powinęła się noga. Poszedł za kraty, a w kilkanaście dni po nim i ten szurgot, deputowany Bonnaure, prezes związku związków laicystycznej młodzieży francuskiej, szantażysta, kubaniarz, Louis (czyli alfons) i także wychowawca młodzieży.

Na tego Dubarrego zwraca się uwagę specjalną, ponieważ wśród szeregu miejscowości na Jasnym Brzegu, które wymieniane są jako oazy rozkoszy, gdzie te bandy prasowych i politycznych gangsterów szalały, ruletowały i rozrzucały miljony (uciułane przez głupawych *epicier*'ów i Pecuchetów) wymieniane jest w tygodniczkach stale także urocze Cinières..

To nam coś tutaj przypomniało. Jakaś... miejscowość... znajoma... z nazwy...

Kto to z Polaków, z dzielnych i zasłużonych obywateli polskich dorobił się w tych ciężkich kryzysowych latach willi (*chateaux*) w Cinières?...

* * *

Opozycyjna prasa polska powtórzyła niedawno, nie bez słów uznania (cytując źródło). artykuł pewnego krakowskiego pisma w sprawie jakiejś ankiety, jaką rzekomo rozdawano dzieciom w państwowych szkołach średnich. Ankieta była głupia i nieetyczna. Nakazywała dzieciom ujawnienie (denuncjowanie) władzom szkolnym, do jakich stowarzyszeń należą rodzice, jaką rozwijają społeczną działalność, jakie czytają pisma i t. p.

Ponieważ ankieta taka musiała spotkać się z najostrzejszą niepopularnością i odporem, przeto najpotężniejszy organ galicyjskiej „sanacji“ pośpieszył gorączkowo z surowym protestem przeciw ankiecie w imieniu „szerokich kół rodzicielskich“, wychodząc ze „stanowiska moralno-wychowawczego“. W artykule użyto słowa „inkwizycja“. Wobec czego antyrządowe pseudo wystąpienie („śmiałe i odważne“. . *sic*) cytowała cała prasa opozycyjna z prawej i z lewej strony.

Tymczasem zaś cytować nie była powinna. O dzienniku tym bowiem obie strony, to jest i „sanacja“ i opozycja (prawa i lewa), sąd mają wyrobiony i identyczny.

Dwa lata temu tygodnik młodej sanacji „Przełom“ nazwał ten koncern prasowy „rozgłośnią“:

„z której na całą Polskę wylewa się cuchnąca ciecz kryminału, morgi, domu publicznego, handlu żywym towarem, przemytnictwa, zboczeń seksualnych, narkomanji“.

Kierownictwo dziennika zaś określił tygodnik „Przełom“ epitetami:

„Cham w awangardzie... Rajfur z przedniej straży czarnej sotni (!)... rozsadnik zgnilizny i degeneracji“.

Zeszłego roku z wiosną sanacyjny, czytywany przez Czynnik Decydujący „Kurjer Wileński“ pisał:

„Rozpisywać się i użalać nad złem, wyrządzanem młodzieży i warstwom mniej oświeconym przez kryminalistyczną literaturę, podniecające płciowo obrazy kinowe i zabawy, lamentować, że pan poseł Dąbrowski wydaje poczytny w najszerszych warstwach, zwłaszcza wśród młodzieży tyg. „Detektyw“, rozdzierać szaty nad każdą sprośnością kabaretów warszawskich, gdy tu występują — to jeszcze nie wystarcza“...

Mimo to wszystko jednak, przez jakiś czas, aż do zakazu krakowskiej Kurji Metropolitalnej drukowali w organie krakowskim swoje prace nawet księża i kapelani wojskowi (Niezgoda). Nadal zaś drukują swoje prace popularyzacyjno-naukowe młodzi uczeni i profesorowie. Tymczasem drukować nie powinni. Dlaczego? Otóż z dwóch powodów:

Po pierwsze z tego powodu, że 3-ciego lutego r. 1933 pojawiło się tem w piśmie następujące ogłoszenie, które potem powtarzało się jakiś czas stale:

„Nauczyciele (lki), reflektujący na posady do szkół ludowych rządowych, zechcą zgłosić się we własnym interesie po informacje pisemne do IKC Kraków, Wielopole 1, pod informator 300“.

Śledztwo wykazało, że I. K. C. pośredniczył w szantażu polegającym na tem, iż adwokat dr. A. Harasimow z Dubinka pod Przemyślem, reflektantom i reflektantkom za honorarjum w sumie 300 złotych wyrabiał posady nauczycielskie. Adwokata aresztowano, Dubarrego oczywiście ani tknięto.

Tymczasem zaś na tego rodzaju d r o b n e szantaże, przedsiębiorstwo, które ma za sobą taką przeszłość i taką opinję w kraju, pozwalać sobie nie powinno.

Nadto zaś sam kierownik dziennika na tym punkcie, w sprawach profesorskich, pedagogicznych, edukacyjnych, wychowawczych, nauczycielskich winien zachować jak najdalszą rezerwę i ostrożność. Dlaczego? Dlatego, że kiedyś sam był pedagogiem i wychowawcą młodzieży.

Było to w r. 1905.

W sprawozdaniu dwudziestem drugiem Dyrekcji C. K. Gimnazjum III w Krakowie za rok szkolny 1905, w spisie zatytułowanym: Grono nauczycielskie przy końcu roku szkolnego 1904/05 pod pozycją 19 figuruje:

„Marjan Dąbrowski zastępca nauczyciela, uczył jęz. niemieckiego w klasie I a i II b, matematyki w klasie I a i I b (tygodniowo godzin 17)“.

W sprawozdaniu dyrekcji tegoż gimnazjum za rok 1906 nazwiska tego już niema.

Otóż w aktach dawnej galicyjskiej Rady Szkolnej we Lwowie, a w obecnem Kuratorjum Okręgu Szkolnego we Lwowie powinny być dokumenty, stwierdzające, dla jakich powodów, zastępca nauczyciela M. D. przestał wykładać.

Ponieważ deputowany ten gra nadal dużą rolę w polskiem życiu publicznem, przeto możnaby tę sprawę zainteresowanym prześwietlić czy wyjaśnić.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Czas“ przeniósł się do Warszawy, a jego „obiady“ polityczne — aż do Wilna. „Słowo“ wileńskie urządziło wielki obiad z Januszem ks. Radziwiłłem. Zamiast p. Beaupré gospodarzem był p. Mackiewicz. „Ks. Radziwiłł... wygłosił n i e s ł y c h a n i e g ł ę b o k i e, nastrojowe i z wielką maestrją słowa wypowiedziane przemówienie“ — tak pisze o tej mowie p. Mackiewicz. Zgłębiając tę głęboką mowę, przekonamy się, że najgłębszem w niej miejscem jest hasło: „korzystać z nadarzającej się sposobności“. Jeśli to „nastrojowe“, to nie wchodzimy w to, jaką się w Wilnie przewiduje sposobność, ale to stwierdzić musimy, że ks. Radziwiłł doskonale wykorzystał sposobność obiadu, aby wskrzesić tradycję panegiryzmu XVIII w. Tak kadzono wtedy Radziwiłłom, teraz oni kadzą... Cała mowa—to nowy tekst do „My pierwsza brygada“.

*

Patetyczny styl „Czasu“ wytwarza niekiedy przezabawne *qui pro quo.*

Oto, pisząc o pustce, jałowości literatów, autor artykułu w „Czasie“ (25.I.) tak się wyraża:

„Znamy u najwybitniejszych pisarzy tragiczną chwilę w y p r ó ż n i e n i a“.

Cóż w tem tragicznego widzi publicysta „Czasu“?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.